

Dziś w numerze: • **W świat i z powrotem** • **Martwy olbrzym** • **Wesele Hanki** • **Puk, puk Melpomeno...** • **O filmie dobrze i źle** • **Samba w hotelu, rumba na stadionie** • **Felietony** • **Recenzje**

odgłosy



26 (556)
30. VI. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Z teki ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO

Fot. K. Janaszewski

KONRAD FREJDICH

Gdy PRZE KWITY KASZTANY

Myślałem, że będzie zdjęcie. Takie tradycyjne zdjęcie na wieczną pamiątkę, dla syna i wnuka. Abiturienti, cała XIc, skupieni w gromadkę, żeby obiektyw mógł objąć i tę czerwoną tabliczkę z napisem: „II Liceum Ogólnokształcące im. Gabriela Narutowicza”.

Ale zdjęcia nie było. W dniu rozdawania świadectw padał deszcz, a ich wychowawca, profesor Zdzisław Wasilewski mocując się z aparatem fotograficznym osłabiał zmęczonym głosem:

— Nie z tego, lampa błyskowa nie działa. Na wieczną rzecz pamiątkę zostały więc tylko w szafie dyrektora szkoły dzienniki lekcyjne i klasowa kronika, którą cierpliwie przez cztery lata spisywała Marysia Przyłęcka, prymuska, ale nie z tych, co lubią zadzierać nosa. Kilka wypisów z tej kroniki niechże nas wprowadzi w atmosferę szkolnego życia:

„Z Sulejowem łączymy też miłe wspomnienia, gdyż tam spożyliśmy obiad” (20. V. 1965 r.):

„Ponieważ u nas w IX e jest przewaga dziewcząt (64 proc.), więc profesor wychowawca zaprosił kilku młodzieńców z innych klas. Ponieważ „Beatles” niezbyt dobrze wywiązali się ze swego zadania i nie bardzo pomogli nam w pierwszym tańcu, zorganizowano konkurs, którego zadaniem było wyłonienie „króla hobbyistów”. Kandydaci na „królów” opowiadali o swoim hobby: big beacie, znaczkach i podrywaniu”.

(sprawozdanie z zabawy szkolnej, 15. I. 1966 r.)

Dalszy ciąg na str. 5

JAN WASZCZYŃSKI

HITLEROWSKIE SĄDY SPECJALNE

Sądy specjalne (Sondergerichte) powołane w Niemczech na zasadzie rozporządzenia z dnia 21 marca 1933 r. stanowiły system organów wyodrębnionych z sądownictwa powszechnego. Znamienna jest data utworzenia tych sądów, która zbiega się z formalnym objęciem władzy przez Hitlera, i która w dużej mierze wyjaśnia zarazem ich genezę i cel. Sądzić miały one osoby winne przestępstw o charakterze politycznym, co po odrzuceniu kamuflażu terminologii prawnej — oznaczać miało szybkie i bezwzględne tepienie przeciwników politycznych nazizmu, czego zresztą bynajmniej nie ukrywano w ówczesnym hitlerowskim piśmiennictwie. Obecny dyrektor sądu krajowego w Dusseldorfie, W. Idel, w rozprawie napisanej w 1935 roku stwierdzał, że zadanie sondergerichtów polega na tym, „aby całkowicie wytepić przeciwników III Rzeszy, głównie zaś komunistów i socjaldemokratów”. Spełnienie tego zadania zapewnione miało zostać przede wszystkim przez dobór do sondergerichtów sędziów spośród ludzi, dla których pojęcia praworządności i niezawisłości sądu pozbawione były jakiegokolwiek znaczenia, i którzy funkcję swoją w sądzie pojmowali wyłącznie jako przedłużenie działalności po-

licji i Gestapo. Rola tych ludzi w niemieckim aparacie sprawiedliwości była szczególnie złowroga, na ich barki bowiem złożono zadanie podważenia tradycyjnego w narodzie niemieckim postrzegania prawa i porządku, doprowadzenia do całkowitej degradacji prawa w hitlerowskiej III Rzeszy. Mieli oni wykonać to, co dobitnie po dojściu do władzy hitlerowców, wyraził Goebbels, kiedy mówił: „Przestrzegaliśmy praworządności nie dlatego, że chcieliśmy jej przestrzegać, lecz dlatego, by dojść do władzy. Doszliśmy do niej legalnie dla uzyskania możliwości działania w sposób nielegalny”. A możliwość takiego działania uzależniona była m. in. od podważenia postaw grona sędziowskiego, którego konserwizm, przywiązanie do zasad praworządności zastąpić należało ślepyim posłuszeństwem dla poleceń wydawanych przez fuchrera i osoby działające w jego imieniu.

W tego rodzaju sytuacji nie można się dziwić, że rola sądów specjalnych w niemieckim aparacie wymiaru sprawiedliwości z biegiem lat rosła. Wzrost znaczenia sądów specjalnych wyraził się przede wszystkim w rozszerzaniu się ich kompetencji na coraz większy krąg spraw, a ponadto — we wzroście liczby tych sądów. W dniu 15 marca 1940 r. na obszarze tzw. „Wielkich Niemiec” działało łącznie już 55 sądów specjalnych.

Następowała przy tym znamienna, idąca w dwóch kierunkach ewolucja. Z jednej strony sądy te „wrastają” coraz bardziej w system sądów powszechnych w miarę opanowywania tych ostatnich przez hitlerowski aparat władzy. Z drugiej strony — sądy specjalne zaczynają odgrywać w całokształcie sądownictwa niemieckiego rolę coraz bardziej wiodącą, reprezentując „sprawiedliwość” nowego hitlerowskiego „ładu”. W jednym z najbardziej reprezentatywnych komentarzy, wydanym w roku 1941, autorstwa podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości Rzeszy i prezydenta Akade-

mii Prawa Niemieckiego, osławionego dr Rolanda Freislera *) oraz radców tegoż ministerstwa Graua, Kruga i Rietscha, stwierdza się już, że „w czasie wojny znaczenie sądów specjalnych wzrosło tak istotnie, że można bez przesady stwierdzić, iż na nich spoczywa punkt ciężkości całego niemieckiego wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych”. Kolejni dygnitarze wymiaru sprawiedliwości III Rzeszy wykazywali ogromną troskę o to, aby ta generalna koncepcja sondergerichtów rozwijać. Jeden z podsekretarzy stanu w ministerstwie sprawiedliwości, Rothenberger, sądzony następnie jako zbrodniarz wojenny przez Amerykański Trybunał Wojskowy w Norymberdze, złożył Hitlerowi memoriał przedstawiający konieczność zasadniczych reform sądownictwa, oparcia wymiaru sprawiedliwości na nowych zasadach, których prekursorem były właśnie sondergerichte.

Uprzedzając zaś w owym memoriale ewentualne zarzuty, Rothenberger cynicznie pisał, że jeśliby w związku z wprowadzaniem planowanych reform w życie podniósł się „hałas o bezprawiu, despotyzmie i niesprawiedliwości itd., to w obecnym czasie nie będzie to nic innego, jak brak rozeznania w sytuacji politycznej”.

Sądy specjalne tworzone były w okręgach wyższych sądów krajowych (Oberlandesgerichte) przy poszczególnych sądach krajowych (Landesgerichte). Orzekały one w składzie trzech sędziów zawodowych. Postępowanie przed sądami tymi było znacznie uproszczone. Nie przeprowadzano sądowego postępowania wstępnego, postanowień sądowych o wszczęciu postępowania nie wydawało się, terminy sądowe nie mogły stać na przeszkodzie natychmiastowemu osądzeniu sprawy, jeżeli sprawcę schwytano na gorącym uczynku lub jeżeli wina jego była oczywista; termin jaki upłynął musiał między doręczeniem wezwania na rozprawę a rozprawą skrócony został do 24 godzin. Sąd

krajowy i sąd specjalny powiązane były szeregiem więzi organizacyjnych. Przewodniczącym i zastępcą sondergerichtu był dyrektor sądu krajowego. Członków sondergerichtu powoływał prezydent wyższego sądu krajowego. Oskarżenie wnosiła prokuratura sądu krajowego, przy którym sondergericht miał swą siedzibę.

Na okupowanych terenach Polski sondergerichte rozpoczęły swą działalność już w czasie działań wojennych. Rozporządzenie naczelnego dowódcy Wehrmachtu o sądach wyjątkowych na okupowanych terenach polskich z dnia 5 września 1939 r. przewidywało, że „...o ile sądy wojskowe lub specjalne osadzają czynny karalne, należy stosować niemieckie prawo karne”.

Utworzenie sądów specjalnych na terenie tzw. Generalnej Guberni nastąpiło w drodze wydania przez Hansa Franka rozporządzenia z 15 listopada 1939 r. o sądach specjalnych w Generalnym Gubernatorstwie. W myśl tego rozporządzenia przewidziane było utworzenie sądu specjalnego dla każdego okręgu Generalnej Guberni. Sąd specjalny orzekał w składzie trzech sędziów, w sprawach zaś mniej zawiłych — na wniosek władzy oskarżającej — w składzie jednego sędziego.

Właściwość tych sądów rozciągała się na czyny, które przez przepisy szczególne przekazywane były do osądzenia tym sądom, a ponadto — na wszelkie czyny „jeżeli ze względu na ciężki lub godny potępienia charakter czynu lub wywołane wśród publiczności (?) oburzenie, skazanie przez sąd specjalny jest wskazane”. Przytoczone wyżej określenie właściwości dawało w praktyce możliwość skierowania przez prokuraturę, wedle jego swobodnego uznania, do

Dalszy ciąg na str. 3



Francuski system wyborczy do parlamentu zasada się na dwuetapowej głosowaniu. W I turze mandaty zdobywają tylko ci, którzy uzyskują ponad 50 proc. głosów. Komu do tego poziomu zabraknie choćby 1 głos, odpada z walki wyborczej. Dopiero w II turze mandat zdobywa się zwykłą większością głosów. Z tego też względu niedzielne głosowanie, do którego stanęło 80 proc. wyborców nie może być pełnym miernikiem układu sił. Można jednak stosować pewne kryteria porównawcze. I one właśnie wskazują, że gaullicy umocnili swą pozycję. Kandydaci Unii Demokratów na Rzec V Republiki otrzymali 35,57 proc. głosów i w sumie gaullicy z pierwszej tury rozporządzać będą 10 mandatami więcej niż przed rokiem.

Wynik ten po burzliwych dniach we Francji, jest pewną niespodzianką. Jak widać — raz jeszcze osobisty autorytet de Gaulle'a i jego realistyczna polityka zagraniczna odegrały w wyborach zasadniczą rolę.

Obowiązująca ordynacja wyborcza znów uderzyła we Francuską Partię Komunistyczną. Na ok. 22 mln głosujących Francuzów otrzymała ona ponad 4,5 mln głosów, a więc największą liczbę po kandydatach Unii. Mimo to z tej tury komunistom przypadnie 6 mandatów, tj. o dwa mniej niż w marcu ub. roku.

I jeszcze jeden charakterystyczny rys pierwszego etapu głosowania. Federacja Lewicy Demokratycznej i Socjalistycznej nie uzyskała obecnie żadnego mandatu, podczas gdy w ub. roku — 7. Do balonu zmuszeni będą stanąć jej przywódcy: Francois Mitterand i Guy Mollet.

Naszym zdaniem jest to dotkliwa porażka, której źródła niewątpliwie dopatrywać się trzeba w fakcie braku przez tę Federację pozytywnego, rządowego programu, co niejednokrotnie postulowała FPK.

Jak powiedzieliśmy na wstępie, pierwsza tura nie jest decydująca o składzie nowego parlamentu. Na razie wiemy tylko tyle, że z 470 miejsc w Zgromadzeniu Narodowym, przypadających na metropolię, obsadzono dotychczas tylko 155 i że w tej liczbie będzie 118 deputowanych gaullickich, 27 niezależnych republikanów, 6 komunistów, 3 centrystów (ugrupowanie Leca-naudeta) i 1 przedstawiciel skrajnej prawicy.

Ostateczne rozstrzygnięcie przyniesie najbliższa niedziela, której wyborcze wyniki obserwować będziemy z największym zainteresowaniem.

A teraz o niektórych innych, najważniejszych wydarzeniach międzynarodowych.

Rozmowy paryskie między USA i DRW, znalazły się w pewnym impasie. Zmniejszona częstotliwość spotkań, a oświadczenia obu stron o ich przebiegu wykazują wyraźnie, że nie osiągnięto postępu. Taktyka gry na zwłokę, którą Waszyngton zastosował w wyborze miejsca na rozmowy, teraz kontynuowana jest w zmienionej formie. Wydają się potwierdzać przypuszczenia, że wprawdzie rozmów nie będzie można przerwać, jednak mogą one być długotrwałe i żmudne. Z czyjej winy — nie trzeba dodawać.

Brak optymizmu w tej sprawie częściowo jest rekompensowany wiadomością, która obiegła całą prasę, że 1 lipca równocześnie w trzech stolicach: Moskwie, Waszyngtonie i Londynie, wyłożony zostanie do podpisania układ o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, przed kilkunastu dniami, o czym pisaliśmy w ub. tygodniu, zaprobowany przez Zgromadzenie Ogólne NZ. Czas wejścia w życie układu maksymalnie więc skrócono i tegoroczne lato przebiegać już będzie pod znakiem zmniejszonego niebezpieczeństwa wojny nuklearnej. Przy wielkiej komplikacji zagadnień międzynarodowych jest to optymistyczny element.

Mniej wesoło nastawiają oficjalne wystąpienia czołowych polityków Izraela, nie rokują one nadziei na pokojowe uregulowanie konfliktu bliskowschodniego. I tak na przykład słowa Dajana: „Od Jordana do Morza Śródziemnego — oto kraj Izraela. Widzę rzekę Jordana jako naszą granicę, a wzgórze na zachód od Jordana (Wzgórze Judejskie) jako bazę obrony naszych granic”, nie mogą być interpretowane inaczej niż tylko jako definitywne odrzucenie rezolucji Rady Bezpieczeństwa z 22 listopada. Przypomnijmy, że nawoływała ona do powrotu do granic z 4 czerwca.

Nie ustające prowokacje wobec krajów arabskich, a zwłaszcza skoncentrowanie poważnych sił na granicy z Jordanią, wskazują, że przywódca Izraela ani myśla o drodze negocjacji z krajami arabskimi. I w tym wypadku nie trzeba Czytelnikom wyjaśniać, jakie niesie to niebezpieczeństwo.

Wreszcie w dzisiejszym komentarzu poświęćmy nieco uwagi kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych.

Najważniejszym w niej wydarzeniem jest uzyskanie w tzw. „prawychborach” w Nowym Jorku zdecydowanej większości głosów przez E. McCarthy'ego. Jeśli jest to miernik rzeczywistych nastrojów społeczeństwa, a takiego zdania są komentatorzy amerykańscy, szanse Humphreya poważnie maleją. Nigdy jeszcze — podkreślają oni — w historii Stanów Zjednoczonych nie miała miejsca taka szeroka rozpiętość pomiędzy opinią publiczną, a politykami. Nigdy też nie zdawano sobie sprawy jasniej niż obecnie, że wyborcy mają niezwykle ograniczony wpływ na wybór kandydata na prezydenta. Decyzje te należą do konwencji krajowych partii i wcale nie muszą odzwierciedlać woli wyborców, którzy potem stają przed bardzo ograniczoną alternatywą. Trudno więc dziś przesądzać, co przyniesie wybory. W każdym razie w USA narasta niepokój i zwątpienie. W. SŁAWSKI

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Sporo mówiono ostatnio o przygotowywanej aukcji obrazów — dziś można już powiedzieć „świeta, swięta i po swiętach”. Wbrew pozorom nabywców było wielu, szczególnie po wodeniem cieszyn się obrazami — do grafiki jakos jestem mniej przekonani. Dziwna to trochę, bo grafiki mamy przecież w Łodzi znakomita. Na marginesie aukcji chciałabym jednak wyrazić żal, że odbywała się one dosłownie „raz około Wielkiejnocy”. W ciągu trzech lat były trzy aukcje — to za mało, aby powstała tradycja. Naprawdę nie wiem czy zorganizowanie takiej imprezy raz na kwartał, jest aż tak trudne. Nie wiem także, czy potrzebne są te tajemnicze ograniczenia — raz kupować mogą tylko instytucje, innym razem znów tylko osoby prywatne... Łódzkie środowisko, pierwsze w Polsce (i chyba dotąd jedynym) oświadcza plastyczne aukcje. Trzeba więc „pościć za ciemem” i te naprawdę pozytywne akcje, prowadzić konsekwentnie i konsekwentnie rozszerzać.

WTOREK

Łódzki czytelnik nie ma możliwości kupienia w kiosku „Ruchu” takich gazet jak „Raboczy Kraj” czy „Raboczy Put”. Nie dziwnego, pisma te wychodzą w Iwanowie i Smoleńsku. Ale mamy tam szarych przywódców, i ostatnio, patrząc na lamy tych gazet, spotykam znajome twarze i znajome wiersze — Mariana Piecha-

ła, Jana Koprowskiego, Igora Sikirycyckiego, Tadeusza Chrościelewskiego, Tadeusza Gieglera i Władysława Strzeleckiego. A tłumaczył poczę łódzkich twórców Wasyli Kocznow — także przecież łódzianin, mieszkający od paru lat w tym mieście, dziecki poeta. Myślę, że warto podobną kolumnę poetów z za-pryjażnionych z nami miast Kraju Rad, zaprezentować łódzkiemu czytelnikowi.

ŚRODA

Kiedy czytam wywiady lub słucham ich w telewizji, przypominam mi się Benia Krzyk, który rzekł: „on mówi mało, ale mówi smacznie. On jak coś powie, to chciałoby się, aby jeszcze coś powiedział”. Niestety, nie zawsze jest tak właśnie. Ulubienie Notatnika, pewien pan z branży filmowej, powiedział w wywiadzie telewizyjnym, że kino „Kilów” w Krakowie, jest jedynym w Polsce, które posiada aparaturę do wyświetlania filmów o taśmie 70 mm. Każdy kinoman, każdy „konik” w Łodzi wie, że taka aparatura ma od dawna kino „Bałtyk” w Łodzi. Owian pan z branży filmowej tego nie wie, choć wie o Łodzi same brzydkie rzeczy. On jak coś powie, to chciałoby się, aby zaraz skończył.

CZWARTEK

„Ci mają dobrze — słyszy się nieraz o studentach — 3 miesiące wakacji...”. No, niezaprawdę. Student latem też pracują. Właśnie niedługo wielu z nich wyjeżdża na obozy naukowe,

gdzie prowadzić będą potrzebne i trudne prace. Na cześć Zjazdu partii ogłoszono w kraju „Akcie 200” — dwustu obozów naukowych. Środowisko łódzkie zorganizowało 14 takich placówek — najpoważniejszym bezdziej międzynarodowy oboz archeologiczny w woi. bydgoskim, gdzie młodzi archeolodzy będą ślady polskości tych ziem. Nawet oderwani pono od życia studenci filologii klasycznej, będą w Gryfowie i Łwówku badać łacińskie źródła polskości Silesii czyli Śląska. Bardzo daleko, aż na kraniec Polski wyjadą młodzi biolodzy. Na terenie malutkiego powiatu Bieszczadzkiego Parku Narodowego zbierać będą materiały dla Muzeum Przyrodniczego w Lesku. Słowem czeka łódzkich studentów pracowite lato. Stanisław Rudolf — z Komisji Nauki RO ZSP, który mi o tym wszystkim opowiada — wskazuje na mapie Polski i mówi: „Jesteśmy tam potrzebni i zastawimy cząstkę wykończonej pracy”. Na mapie, rozrzucone od Bałtyku do Bieszczad kolorowe punkcikł łódzkich obozów naukowych.

PIĄTEK

Kończą się tradycyjne piątki w Filharmonii. Sezon 1967-68 mamy już właściwie za sobą, a byli to sezon udany. Wystarczy powiedzieć, że w sali przy ul. Narutowicza, koncertowały takie sławy, jak Bella Dawidowicz i Halina Czerny-Stefańska, że dyrygował tu Paweł Klecki, że grał Konstanty Kulka... Na marginesie anegdota — nieestetycznie, prawdziwa. Kiedy Kulka koncertował w NRF, tamtejsze gazety dokonywały w jego nazwisku „korekty”. Zmieniano ostatnią literę, wychodziło Kulke, co miało sugerować niemieckie pochodzenie. Tak, tak, polityka wkracza też w rejony sztuki. Ale do rzeczy. Sezon łódzkiej Filharmonii to nie tylko sławni soliści — to także popularyzacja muzyki wśród młodzieży, to tzw. audycje szkolne. Imprez takich było ponad 1000 — uczestniczyło w nich ok. 350 tys. młodzieży. To bardzo ważny fragment działania Filharmonii. Z tej rzeczy przecie-

SOBOTA

Rozpoczęły się wakacje, aby więc „mied z głowy” młodzieżowe sprawy, oddajmy miejsce „abonentowi mini kultury” czyli abonentom teatralnym dla szkół. Rozprowadzono w Łodzi ponad 177 tys. biletów wśród młodzieży, a zatem 77 tys. więcej niż w Warszawie. Młodzi widzowie obejrżeli „Klub ke”, „Strasny Dwór”, „Damy kawalerów”. Dobrze więc, że młoda widownia poznaje klasykę, ale i sztuki współczesne też się w ramach abonamentu winny znaleźć. Można by też sobie i młodzieży życzyć, aby wszędzie odbywały się przed spektaklami tak rzeczowe i inteligentne prelekcje wprowadzające w zagadnienie granej sztuki, jak to się dzieje w Teatrze Wielkim i w Powszechnym.

NIEDZIELA

A w niedzielę do kina... Tyłko, że z kinami w Łodzi kłopot. Jesteśmy na końcu tabeli krajowej, jeśli chodzi o ilość miejsc przed wielkim ekranem. Mamy bowiem 12 tys. miejsc — do tzw. wskaźnika krajowego brakuje nam 6 tysięcy. A tu jeszcze w najbliższych latach, pod ciociami komów legna „Adria”, „Młoda Gwardia”, „Swit” i „Pionier”. Na pocieszenie zostaje nam świadomość, że ponad 80 proc. łódzkich kin może wyświetlać filmy panoramyczne, co z kolei jest znów najwyższym wskaźnikiem w kraju. I tak to niedzię jednym a drugim wskaźnikiem żyje łódzki kinoman z piękną wizją kina na Zubardzi, kina na Dąbrowie, kina na Teofilowie. Wydaje mi się, że „koniki” stana się już zupełnie sławnymi walcami, kiedy wreszcie dosta się kin dziecięcych sprawi, że o bilet na atrakcyjny film będzie równie łatwo jak o bilet tramwajowy.

JERZY WIDOK

LISTY do REDAKCJI

Zacząć mi należy od ukłonu w stronę red. J. W. i przeproszenia, że nieznam się, w sos dziennikarski, aczkolwiek nie ma to do dziadka.

Wraz z gronem zwolenników C. K. Norwida, wyrażam jęstem opinię, że o tym poecie pisać należy, choć z ostrożnością. Artykuł red. J. W. zamieszczony w nr 23(53), „Odgłosów” z dn. 9. VI. 68 r., tygodniku bądź co bądź społecznym-kulturalnym — o wiele mówiący tytuł „Raczej zasnął niż umarł”, jeżeli mówi o poecie to sposobem zaiste tak trudnym, że nieomal przechodzącym możliwemu uchwyceniu treści, — materii chyba najistotniejszej (śmierć) dla odbiorcy.

Rzecz wymaga rozwinięcia o tyle, o ile tygodnik „Odgłosy” — pismo przeznaczone dla szerokiej konsumpcji — la presteż trzyma. Po kolei brnąć w zagmatwano-poetycką formę znamienna dla pióra i powołania red. J. W. — będzie starał uporządkować lub sprostować myśl Pana Redaktora, za co proszę przepisać winę mojej nadwrażliwości jeżeli chodzi o s.p. Cypriana Kamila Norwida. Bo jeżeli już zakłócamy wieczny spokój — lub jak woli pan red. J. W. „sen” — to czynimy to w sposób delikatny, nie szarpąc za rekaw nieboszczyka, lecz tak aby o budzie go łagodnie, bez złości, a z siebie ostrza jego ironii, zawartej w (cytowanej) słusznie przez red. J. W. wypowiedzi „Przykrycie mnie lepiej” — ostatniej ironii umierającego Norwida.

Proponuję zakłód Panu Redaktorowi coś co najbardziej lubi — (ale nie wiem co lubi) bo na pewno nie lekturę Norwida, że przyczyna niepopularności poety tkwi w zamierzonej przez Norwida trudności w przedarciu się do rżenia jego myśli; (w tym mimowolna zbieżność z artykułem red. J. W. zamieszczonym w „Odgłosach”) — a nie w cenie opracowanych jego dzieł, jak to na początku swoich „poetyckich” rozważań stara się wzmóc red. J. W. pisząc: „Wielą wolą o jego odkrycie, lecz luksusowe, drogie wydania jego wierszy nie trafiają pod strzechy”. Dalej śmiem wątpić czy istotnie nazwisko Norwida wymienia się „jednym temem” obok Mickiewicza i Słowackiego.

Czy wolno zapytać, gdzie to się tak wymienia „jednym temem” — bo chyba jeszcze nie w szkole średniej, nie w tematach maturalnych a i chyba nie na uniwersytecie, bo np. łódzka katedra filologii języka jak niedawno mnie informował prof. St. Hrabec

rozpoczyna pracę nad językiem Norwida, idąc zresztą po linii przynależności Norwida do regionu w którym się urodził, czyli Mazowsza. O tym czy Norwid istotnie „mazurzył”, jak twierdzą autorzy, chyba jeszcze głośno mówić, bo już to wpływ innych przyczyn, choćby znajomości dla epoki norwidowskiej, wywodzącej się z olbrzymiego piła filozofii przyrody, jej promieniowaniu na formy literackie. Ale wracając do tematu. Chciałabym zapytać red. J. W. kiedy nadjedzie czas dla Norwidowego Słowa jeśli jest ono wieloznaczne, i tu przypadam sobie, że nie rozumiem o co chodzi panu red. J. W. — czy o laboratorjum tegoż słowa, w sensie jego adekwatności do poetyki nowoczesnej? Bo przecież red. J. W. jako poeci winien doskonale się orientować, że środki pisarskie, technika poezji XX wieku jest nieświadomym przejęciem, nieczekiwany spadołkiem własnie środków literackich których chwycił się Norwid. Jest estetyczna w swoim ascetyzmie, skrótach myślowych, w uogólnieniach, parabolach przemileniach. Także samo proza — zdąża do syntezy, do czystego koloru, do wielkich ogólników. Po dziewiętnastowiecznej dużej powieści o bogatym hacie szczegółów i szczegółików, kółek i koleczek, sprężyn i sprężynek w przelocie akcji na tysiące i przelocie stron, — książka jest na pewno marzeniem tak pisarzy, jak i czytelników XX wieku.

Wieg dłażego pan red. J. W. pisze w odniesieniu do Norwida „Jęz, czas jeszcze chyba nie nadszedł”. I tu chyba byłoby jeszcze większym ryzykiem imputować, że istnieją inne od naszej socjalistycznej, struktury polityczno-społeczne, w których marzenia Norwida mogłyby się urzeczywistniać. „Promethidon” napisany w 1950 r. jest i pozostanie naszym katechizmem narodowym jako pierwsza polska oryginalna ideologia pracy i organizacji patriotyzmu. Gdzież jak nie w naszej rzeczywistości praca staje się sztuką. Przez pryzmat pracy oceniamy i kwalifikujemy wartość człowieka i jego rolę w społeczeństwie. Smutne to, że skądinąd tak dobry poeta i dziennikarz jak red. J. W. opatrnie umieszcza Norwida w świecie chyba abstrakcji bo jakie inaczej przyjąć sformułowanie „Jęz czas jeszcze nie nadszedł”? A czy wolno, zapytać wreszcie, co jest „niepokojącego” w fakcie współczesności Norwida? Bo pan red. J. W. jakby zapomi-

nając powyżej skomentowane przeze mnie „nieczułości” formalno-trześciowe poety, pisze nagle, że jest on (Norwid) „niepokojący współczesny”.

Istnieje chyba we współczesnej mowie polskiej jakiś odpowiednik, który klarownie określiłby wrażenie red. J. W. bo uważam, że jeżeli dostrzegł współczesność Norwida, faktem tym nie warto się niepokoić. O nie „szanownego” redaktora nie posadzę, ale dłażego widzi dłażegoż prochy Norwida na cmentarzu w Iwry, kto go o tym tak błędnie poinformował, jeżeli spoczywa on już od 1888 r. na cmentarzu w Montmorency we wspólnym grobie wygnañców polskich. Za stały tam przeniesione po wygaśnięciu konsejji cmentarnej w Iwry. A jeżeli ma pan red. J. W. jakiegokolwiek wątpliwości radzę spojrzeć we wstęp do „Pamiętnika artysty” C.K. Norwida opracowany przez Mieczysława Jastruna.

Wiem, że może pan red. J. W. nie pamiętać już swojej informacji a propos prochy wiesz, ca, więc cytuję jak napisał w swoim beczennym artykule: „o spójność ich spoczynku na cmentarzu w Iwry toczą się swary, kto ofiarować ma 100 rubli na przedłużenie...”, konsejji cmentarnej, bez której szczytki poety wrzucone być mają do wspólnej, beczennej mogiły”.

Idźmy dalej. Zgadzaam się, że zasługę Wilkora a potem J. W. Gomułkiewicza w zmuadnej pracy nad odgrzebaniem twórczości i pamięci o Norwidzie mała doniosłe znaczenie, lecz dłażego pan red. J. W. pominał pierwszy odkrywcę zapomnianej spuścizny poety — znakomitego Miriama (Zenona Przesmyckiego) — który przypadkowo natrafił na Brodskau-sowskie wydanie poezji Norwida w bibliotece wiedeńskiej i już w 1904 r. wydał pierwszy obszerny wybór poezji i prozy w VIII t. swojej „Chimery”. Następnie Roman Zegzbowicz w 1908 r. we Lwowie ogłosił fragmenty oarte na tekturce „Chimery”, w I wydaniu „Wyboru Poezji” C.K. Norwida.

Jeżeli pan red. J. W. czuł się nieprzygotowany do pisania artykułu, podejmując się tej pracy mógł choćby zajrzeć na stronę popularno-naukową w dniach 27 i 28 maja poświęconą znowu i twórczości Norwida i jeżeli nudziłby się „madrościami norwidowskiej sejji” jak pisze w swoim artykule, mógł określić choćby wystawie starannie przygotowaną przez organizatorów sejji — LTN i LDK.

Znałabym niewątpliwie na niej szereg ciekawych fotokopii oraz prac wybitnych komentatorów Cypriana Kamila Norwida.

Pana redaktora J. W. i jego kolegów z innych redakcji nie było, jedynie zadowolili się informacjami zasłyszanyymi od pracowników ŁDK zebranyimi drogą telefoniczną lub na sejajcie wpadające i szepające a

jakiego referatu dalaoby się zrobieć „sejajce”.

Twierdzi, że sejja przeszła bez echa — a z czyjej to winy szanowny namie redaktor?

Na frekwencję też nie można było narzekać jak na pierwszą sejję Norwidowską w kraju. Byli liczni przedstawiciele świata nauki i pokaźna grupa młodzieży studenckiej. A już grubym niedalkiem ze strony pana red. J. W. jest niezamieszanie, że w artykule „O spójność ich spoczynku” S. Hrabca, M. Straszewskiej, A. Kowalskiej, nazwiska mgr H. Hartenberga którego prelekcja pt. „Niekóre elementy życia i twórczości Norwida na tle współczesnej epoki” stanowi w pewnym sensie odpowiedź na wszystkie wątpliwości lub niejasności pana red. J. W. dające się odczytać w jego artykule. Dalej przede wszystkim mogłoby wspomnieć o organizatorach sejji — prezese LTN prof. Bańkiskim i kierowniku działu Upowszechniania Wiedzy mgr J. Elbertowej; wiozłi oni ogromny trud w przygotowanie organizacyjnej sejji.

W zakończeniu artykułu „Raczej zasnął niż umarł” — red. J. W. przeraża mnie zdaniem, że Norwid jest „porażony swoją współczesnością, która jest przecież także naszą, jego późnych wnuków”. Nie śmiem nawet dociekać w tak przedziwnie sformułowanie myśli. Te „drobne” różnice między wiekami dziewiętnastym a dwudziestym zna i dziecko w szkole powszechnej.

Na przyszłość radziłbym, że prosi o mniejsze roztargnienie przy odpowiadzaniu prac dziennikarskiej, bo jak pisze Norwid w wierszu „Praca”: „Zaczni... by w głowie nie było zawrotu. Wier głos ogromny znów jak wlewał wola: Pracować musisz z potem twego Czoła!”

ZYGMUNT MARCZEWSKI

Panie Redaktorze

Wydawało mi się, że dla Czytelnika sprawa będzie oczywista. Nie pisałem sprawozdania z sejji norwidowskiej lecz felieton-refleksję na jej marginesie. Niemniej jednak popelnilem rzecz przy krą — przeczytelem nazwiska Henryka Hartenberga oraz Zygmunta Marczewskiego, którzy obok sław naukowych w sejji czynnie uczestniczyli — pierwszy jako jeden z referentów, drugi jako recytator.

Co do pozostałych uwag, to muszę przyznać, że ich ton i aluzyjność są dla mnie po prostu niezrozumiałe.

JERZY WILMAŃSKI

HITLEROWSKIE

SĄDY

SPECJALNE

Dalszy ciąg ze str. 1

sondergerichtu każdej sprawy, niezależnie od jej charakteru.

W tzw. Kraju Warty sady specjalne działały przy sądach krajowych w Inowrocławiu (początkowo — Włocławku), Kaliszu, Poznaniu, Łodzi i podlegały instancyjnie wyższemu sądowi krajowemu w Poznaniu. Na pozostałych wcielonych do Rzeszy obszarach Polski działały sady specjalne tych prowincji administracyjnych Niemiec, do których terenów włączono (zwłaszcza do prowincji „Gdańsk — Prusy Zachodnie”, „Górny Śląsk” i „Dolny Śląsk”).

Prawem materialnym i procesowym, które stosowały sady specjalne w sprawach Polaków i Żydów stało się ostatecznie rozporządzenie z dnia 4 grudnia 1941 r. „o prawie karnym dla Polaków i Żydów” na „wschodnich ziemiach wcielonych”, którym to terminem hitlerowska administracja określała tereny polskie włączone do Rzeszy. Warto odnotować, że autorem przewodnich myśli tego rozporządzenia był znany z wrogości wobec Polaków Rudolf Hess, zastępca Hitlera. W liście ministra sprawiedliwości Rzeszy do szefa kancelarii Rzeszy z dnia 17 kwietnia 1941 r. pisał Hess: „W tej kwestii charakteryzowane zostały następująco: „Zgodnie z zapatrywaniem zastępcy Fuehrera wychodziłem z założenia, że Polak jest mniej wrażliwy na zwyczajne ukaranie... Wedle tego nowego systemu kar więźniowie mają być umieszczani nie w więzieniach, lecz w obozach i będą musieli wykonywać ciężkie i najcięższe prace... Od samego początku zamierzone było wzmocnienie specjalnego traktowania (Sonderbehandlung) w razie potrzeby...”

Zrodzone z takich inspiracji „prawo” zawierało m. in. następujące, warte zapamiętania postanowienia:

— „Polacy i Żydzi... winni zachowywać się stosownie do ustaw niemieckich i wydanych dla nich zarządzeń władz niemieckich. Powinni zaniechać wszystkiego, co przynosi uszczerbek suwerenności Rzeszy — Niemiec i powadze narodu niemieckiego.

— Polacy i Żydzi podlegają karze śmierci, w mniej ciężkich przypadkach karze pozbawienia wolności, jeżeli przez nienawiść lub podburzającą działalność wyrażają się nieprzychylnie do Niemców albo zdradzają lub uszkadzają obywatelstwo niemieckie, władz lub placówek urzędowych albo gdy przez inne zachowanie się poniżają lub szkoda

dzia powadze lub dobru Rzeszy Niemiec i powadze narodu niemieckiego.

— Polacy i Żydzi podlegają karze także wówczas, gdy... popełniają czyn, który zasługuje na karę stosownie do zasad („zasad” nie zaś przepisów! — J.W.) jednej z niemieckich ustaw karnych, zgodnie z panującymi na wcielonych ziemiach wschodnich koniecznościami państwowymi”.

Przytoczone „prawo” zezwalało zatem, by Polaka lub Żyda karano śmiercią za każdy czyn, nie tylko wtedy gdy był on zakazany, lecz także wówczas, gdy zgodnie z „zasadami” ustaw, a więc — na podstawie daleko idącej analogii — zasługiwał on na karę z uwagi na „konieczności państwowe” panujące na okupowanych terenach.

Sądząc Polaków i Żydów sąd specjalny nie był związany nawet tymi okrojonymi przepisami proceduralnymi, jakie obowiązywały, jeżeli oskarżonymi byli Niemcy. Według powołanego prawa z dnia 4 grudnia 1941 r. sąd mógł bowiem odstępować od obowiązujących przepisów proceduralnych i kroć uzna, że jest to wskazane dla szybkiego przeprowadzenia postępowania. Polak nie był stroną w takim procesie, a więc nie miał w nim żadnych praw, w szczególności nie miał prawa wyłączenia sędziów, zakładania zażaleń i apelacji itd. Od Polaków występujących w charakterze świadków, jako „mniej wartościowych” nie odbierano przysięgi, ich zeznań złożonych na rozprawie nie protokołowano.

Po skazaniu Polacy podlegali „specjalnemu traktowaniu” (Sonderbehandlung), które wyrażało się w szczególności w tym, że po odbyciu kary nie byli oni zwalniani do domów, lecz w wielu przypadkach oddawani w ręce policji w celu osadzenia w obozie koncentracyjnym. Sprawa ta regulowana była szeregiem okólników. Początkowo, w piśmie ministra sprawiedliwości z dnia 22 października 1942 r. skierowanym do wszystkich prokuratorów, zalecono przekazywanie w ręce policji „... Polaków zamieszkałych w dniu 1 września 1939 r. na terytorium państwa polskiego, a to mężczyźni i kobiety skazanych na obozy karne... jeżeli wyrok opiewa na ponad 3 lata”. Następna dyrektywa z dnia 1 kwietnia 1943 r. nakazuje już przekazywanie w ręce policji celem umieszczenia w obozie koncentracyjnym Polaków, którzy mają być zwolnieni po odbyciu kary orzeczonej w rozmiarze ponad 6 miesięcy więzienia. Nie trzeba dodawać, że sędziowie specjalnych sądów karnych zdawali sobie sprawę z powyższych skutków skazania, wiedzieli że każdy wyrok skazujący Polaka na karę pozbawienia wolności i powyżej 6 miesięcy oznacza umieszczenie, po odbyciu kary, w obozie koncentracyjnym.

Szczególną aktywność w tępieniu polskości wykazywał się sondergericht w Bydgoszczy, który już w dniu 11 września 1939 r. rozpoczął swą krwawą działalność wydając trzy wyroki śmierci na Polaków. Sąd ten (sędziowie przewodniczący Moutoux i Hennig, sędziowie Kimmie, Raasch, Kruszewski, asesor Michałowski) w okresie swego orzekania skazał ok. 4.000 osób. Więźniowie orzekani w nim wyroki śmierci ulegali natychmiastowemu wykonaniu.

Osobną kartę stanowi działalność sondergerichtu w Łodzi, którego obsada przybyła do Łodzi już w końcu września 1939 r. pierwszym pociągami, który przywiózł także urzędników tworzących się w Łodzi niemieckiej dyrekcji kolei. Szczególnym okrucieństwem



Z teki Ł.T.F.

Fot. K. Janaszewski

stwem odznaczał się przewodniczący tego sądu dr Neubauer oraz sędziowie Gaigal, Cramer, Ritzrow, Schlichting i Wex.

Znaczną większość osób skazanych przez sondergericht w Łodzi to Polacy, choć sąd ten rozpoznawał także pokaźną ilość spraw osób narodowości niemieckiej, wymierzając jednak Niemcom kary rażąco odbijające swym poziomem od kar wymierzanych Polakom i stosujących całkowicie odrębne i osobliwe kryteria ocen. Zdarzały się wypadki skazywania nieletnich, którzy nie ukończyli 14 lat. Za nielegalny ułój powtarzający się lub dokonany w większym rozmiarze, za handel kartkami żywnościowymi z zasady wymierzano karę śmierci. Zasada było wymierzanie kary śmierci Polakom recydywistom, stojącym pod zarzutem popełnienia przestępstw kryminalnych, choćby zupełnie drobnych. Osobnym rozdziałem są sprawy karne o obrazy Niemców i wrocie wobec Niemców wypowiedzi. Bezwzględnie w tępieniu podlegały wszystkie osoby, którym przypisano objawy wrogości wobec Niemców także wtedy, gdy chodziło o zdarczenia sprzed 1 września 1939 r. lub w trakcie działań wojennych, i choćby działania te stanowiły samoobronę przed agresją i sabotażem ze strony Niemców zamieszkałych w Polsce. Przygniatała większość wyroków skazujących wydanych w stosunku do Polaków przekraczała krytyczny próg 6 miesięcy obozu karnego.

Z przytoczonych przepisów wyłania się złowrogi obraz całokształtu uprawnień, jakimi dysponowały sady specjalne dla zwalczania polskości na terenach okupowanych: specjalne sady, obsadzone szczególnie oddaną hitlerowskiemu kadrowi, przepełniona pogardą i nienawiścią dla wszystkich co polskie, mające do dyspozycji „specjalne” prawo materialne i „specjalną” procedurę, skazujące na nieludzkie kary pociągające za sobą po jej odbyciu wyniszczenie w obozie koncentracyjnym!

Działalność sądów specjalnych w Polsce nie doczekała się dotychczas monograficznego opracowania. Jednakże z prowadzonych badań, częściowo publikowanych, widoczne jest, że sondergerichte nie zawiodły oczekiwań hitlerowskich ludobójców, stając się jednym z środków eksterminacji ludności polskiej, dokonywanej pod pretekstem „wymierzenia sprawiedliwości”, która urągała wszelkim — powszechnie — uznanym zasadom stosowania prawa i elementarnym zasadom humanitaryzmu.

JAN WASZCZYŃSKI

*) Jako przewodniczący Volksgerichtshofu Freisler w serii procesów z nieprawdopodobną wręcz brutalnością i okrucieństwem rozprawiał się z uczestnikami zamachu na Hitlera z dnia 20 lipca 1944 r. i ich zwolennikami.

Nożycami przez PRASĘ

Z PRETENSJĄ DO LITERATURY

W żadnej literaturze nie ma okresu, w którym nie budziła by ona niezadowolenia swoich współczesników. Nawet wśród tych, którzy jej na ogół nie znają. Tak widocznie zawsze być powinno. Pisał Jan Korprowski o obradach zjazdu piarskiego w Katowicach, ostatnia zaś „Kultura” przyniosła jeden z referatów, wygłoszony przez Andrzeja Wasilewskiego. Zasługuje on na uwagę.

Analiza dotyczy pewnego fragmentu naszej literackiej twórczości. Dotyczy miłośników swoistego snobizmu na piśmie o frustracji, alienacji, bezpłodności ludzkiego wysiłku, dezintegracji ludzkiej osobowości. Towarzyszy temu wyjąłowanie z realiów naszej

rzeczywistości, chodliwość wszelkich „paraboli”, „kreacji”, „sytuacji modelowych”.

Przypomina tedy Wasilewski:

„W ośrodkach Zachodu cały ten nostalgiczny konglomerat treści jest reakcją na typ mieszczańskiej racjonalizacji, ma za tło życie dostojnie urządzone a w doświadczeniach wielki dysejpliny i rygoru przemysłowej pracy. Jest organem pochodną osiągniętej fazy: wyraża zniechęcenie końcowym wynikiem a jednocześnie dysponuje wiedzą o nowych zmożach ludzkiej egzystencji w organizacjach zaawansowanych. Wyrasta za tem z całkowicie różnej fazy rozwojowej, niż faza, w której my się znajdujemy”.

I z całym naciskiem podkreśla:

„Literackie słowo ma wle-

dy szanse na oryginalność, kiedy się karmi żywym doświadczeniem, jakie gromadzi rodziła zbiorowość”.

Wasilewski nie przybiera jednak w tym wypadku pożyty ograniczonego demagogu. Uprzedza ewentualne zarzuty przeciwko swojej krytyce:

„Znowu muszę się zastrzec, że nie kwestionuję pewnych czynników światowej wspólnoty, elementów jedności w światowej kulturze — i nie po to ujawniam profit tych pożytych, by tępić wrażliwość hetero-miczność i stać na gruncie to talnej odrębności. Wiemy, jak bardzo sprawy systemowych różnic komplikują się i gmatwają, gdy idzie o kulturę. Jeśli więc całą tę kwestię podnoszę, to po to, by zdemitologizować koniunkturę”.

Referat zakłada oczywiście kontrowersyjne ujmowanie rzeczywistości współczesnej i jej rodowodu.

KARGUL

Proces Kargula miał przebieg dość sensacyjny. Prasa poświęciła mu wiele uwagi, „Prawo i Życie” przyniosło serwis szczególnie bogaty. Nie

stety, jak dotąd było o czym czytać a nie ma czego na ten temat cytować. W sensie bowiem społecznym najbardziej szokujące są okoliczności i sytuacje, które stworzyły tak wdzięczne pole działania dla tego aferzysty.

Wypada wyrazić nadzieję, że po doraźnych sprawozdaniach i reportażach przyjdzie kolej na tego rodzaju analizę. Ona jest bowiem najważniejsza!

NOKTURN

Myślenie samodzielne, docho-dzenie do niezależnego sądu nie jest rzeczą łatwą. Przykładem tego może być niedawne przedstawienie w TV pt. „Nokturn” Stanisława Grochowiaka. (Z dodatkami: na motywach opowiadania Paustowskiego „Dziedzisty świat”). Już na wstępie zaniepokoiło mnie, iż tak zawsze sympatyczny przedmowa S. Treugut mówił o Grochowiaku zamiast o Paustowskim. Czekając, iż komuś w prasie nie spodoba się to, że wysunięto na czoło tytuł i nazwisko autora adaptacji. Daremnie. Wartościowy dorobek poetycki i dramatyczny Grochowiaka — sprawił, iż nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że tym razem mieliśmy

do czynienia z niefortunną adaptacją świetnego opowiadania radzieckiego pisarza, światowej sławy. W tym wypadku na pewnego rodzaju staroświeckości, Grochowiak natomiast tylko je rozwinął i strywalizował, spowodował wewnętrzną nielogiczność: skoro Olga Andrejewa i major Kuźmin zaczęli się przytulać i całować, nie stało na przeszkodzie, by bezdomny oficer po prostu został w Nowo-łokach. Czyż nie tak? Tym bardziej, że był koniak i papierosy!

KRYTYKA PITYJSKA

Saganka z pazurami, groteski inne niż dawna literatura „zezowatych”, hiperboliczny półświat, zjadliwa short — story, szwedzka dolce vita, w odróżnieniu od prymitywistycznie czy infantylnie wy-stylizowanych, bez brychtowsko-iredeńskich fascynacji...

To wszystko i jeszcze więcej w jednej recenzji o książce „Wirówka nonsensu” Janusza Głowackiego. Aż wreszcie podsumowanie:

„I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej. Proza Głowackiego nie jest zwykłym zapisem rzeczywistości. Taki

zapis, fotograficzny, nieciekawym w gruncie rzeczy, uprawiają dziś różni pisarze małego realizmu.

W odróżnieniu od nich Głowacki ma coś chędzi. Na pewno. O co? Zobaczmy za parę lat”.

Autorka recenzji: Alicja Lisiecka. Miejsce recenzji: tygodnik „Polityka”.

PORWANIE

Z „Życia Gospodarczego”:

„W jednym z lubuskich PGR kierownictwo postanowiło zorganizować załogę darmową wycieczkę nad morze. Nie doszła ona do skutku, bo zabrakło chętnych. Niezrażone tym kierownictwo zawarło umowę z firmą turystyczną, zwa-lając załogę na zebranie produkcyjne, zaprosiło obecnych do podstawionego właśnie autokaru dla dokonania objazdu gospodarczego i wywiozło jedn-ak załogę nad morze. Ludzie, którzy, jak im powiedziano, na chwilę wsiadli do autokaru — wrócili dopiero po trzech dniach. Na pytanie czy jest ktoś niezadowolony — nikt nie zgłosił pretensji”.

JAN OLECHNO

**POZNAN
1968**

W ŚWIAT I Z POWROTEM

Było to 37 spotkanie. Tradycja sięga wieków średnich, kiedy to w 1231 roku książę Władysław Odoniec zwołał do cel kupców przybywających do Poznania w czasie trwania oktawy św. Dominika. Nas jednak bardziej interesuje teraźniejszość i przyszłość Międzynarodowych Targów Poznańskich niż ich przeszłość. W 1925 roku, kiedy Targi Poznańskie stały się międzynarodową imprezą, uczestniczyło w nich 15 państw. Po wojnie, po odbudowie zniszczeń, w 1947 roku — 11 państw. W 1955 roku liczba państw osiągnęła 25, aby systematycznie rosła do 60, co miało miejsce w 1963 roku. Potem nastąpił stopniowy spadek ilości państw i w tym roku uczestniczyło w MTP — 46 państw.

Powodzenie imprezy targowej tego typu co poznańska, mierzy się nie tylko ilością uczestników, ale i tym, kto w nich bierze udział, jak również wagą, jaką do niej przywiązują zagraniczni kontrahenci. Pierwszy tydzień trwania 37 Międzynarodowych Targów Poznańskich dowiódł, że Poznań liczy się nie tyle tradycją, ile teraźniejszością, faktem, że tu można spotkać najważniejszych producentów w poszczególnych dziedzinach techniki i gospodarki. Wystarczy powiedzieć, że wśród wystawców samochodów są takie firmy jak: Chrysler Corp., Citroen, Fiat, General Motors Corp., Leyland Motor Corp., Mercedes-Benz, NSU Motorenwerke, Opel, Peugeot, Renault, Simca, Volkswagenwerk i Volvo.

Pierwszy tydzień przyniósł polskim centralom handlu zagranicznego umowy handlowe z 32 krajami. Przy czym wśród kontrahentów były też i takie państwa, które nie miały w Poznaniu pawilonów Targi zwiędziało wiele oficjalnych i nieoficjalnych delegacji zagranicznych. Obliczono, że w ciągu pierwszych pięciu dni trwania 37 MTP bramy poznańskiej ekspozycji przekroczyło około 150 tys. osób, a w tym 7 tys. cudzoziemców. Przyjeżdżają nie tylko po to, aby zobaczyć co my wystawiamy, ale przede wszystkim, aby zobaczyć co nowego w interesujących ich dziedzinach, i aby odbyć szereg rozmów. I nie ma w tym nic dziwnego. Fakt jest bowiem sens każdej tego typu handlowej imprezy.

Impreza poznańska nie jest osamotniona. Dokładnie w dniu otwarcia 37 MTP zakończyły się podobne imprezy handlowe w Palermo i Tunisie. Pięć dni później zakończyły się targi w Padwie. W tym samym czasie, co spotkanie poznańskie, trwały targi w Bordeaux i Lizbonie, a na 3 dni przed zakończeniem 37 MTP rozpoczyna się handlowe spotkanie w Triście. Ten ciąg imprez handlowych o znaczeniu międzynarodowym ma niewątpliwie swój wpływ i to zarówno ujemny jak i dodatni. Trzeba bowiem zdecydować się w obszarze tych lub innych imprez, a każdy wybór jest jednocześnie wartościowaniem. Poza tym jeśli nawet nie wyszła

się na któreś targi eksponatów, to trzeba tam posłać specjalistów dla oceny tego, co pokazują inni.

Dla zwiedzających MTP to wielki pokaz rzeczy potrzebnych i niepotrzebnych. Potrzebne to te, które im podobają się, albo które chcieliby mieć u siebie, niepotrzebne, to te, których znaczenia nie wiedzą i nie rozumieją. Dla przemysłu MTP to okazja do porównań. Dla handlowców okazja do intensyfikacji eksportu.

XI Plenum KC PZPR — mówił podczas uroczystości otwarcia 37 MTP minister handlu zagranicznego Witold Trampezyński — postawił przed gospodarką polską ważne zadania w zakresie rozwoju produkcji eksportowej poprzez specjalizację określonych branż i zakładów przemysłowych, które będą realizować produkcję towarów znajdujących się na rynkach zagranicznych w tempie szybszym od ogólnego wzrostu produkcji przemysłowej. Dla właściwego wykonania tych zadań w naszym przemyśle, przede wszystkim maszynowym, konieczne jest zapewnienie szerokiego kontaktu z rynkami zagranicznymi, bez czego nie może być mowy o dostosowaniu się do ich potrzeb i wymagań. MTP umożliwiającą pracownikom przemysłu nawiązanie tego kontaktu za pośrednictwem zagranicznej ekspozycji targowej. Winno to być przez nich jak najszerszej wykorzystane.

Polska dąży do specjalizacji zarówno w produkowaniu jak i handlowaniu obrabianymi, maszynami włókienniczymi, taborem kolejowym i pływającym, sprzętem motoryzacyjnym, maszynami drogowymi i budowlanymi, sprzętem elektrotechnicznym i gotowymi obiektami. Nie przypadkiem już na 37 ekspozycji MTP dominowały maszyny. Nie przypadkiem też największy postęp zanotowano właśnie w przemyśle maszynowym, co znalazło wyraz w eksponowaniu nowych typów obrabiarek. Fachowcy zgodnie stwierdzają, że wiele z poznańskich eksponatów dorównuje zachodnioeuropejskiemu poziomowi, a niektóre konstrukcje wyraźnie go przewyższają.

Wśród wystawców z zakładów podległych MPM znajdują się też ZIM im. J. Strzelczyka w Łodzi, na rynkach zagranicznych występujące jako „Jotes”. Wystawiają one 5 maszyn. Na szczególną uwagę zasługuje szlifiarka do otworów z automatycznym cyklem pracy. Wśród pokazanych maszyn jest też przedzarka obrabkowa — krosno mechaniczne typu „Lancjer” z „Wifamy” oraz 2 skracarki z „Majdu”. Wystawiają też „Elita”, „Elester”, „Emit” z Żychlina, Fabryka Maszyn Rolniczych „Kraj” z Kutna, Fabryka Urządzeń Budowlanych z Łodzi, Fabryka Kosmetyków „Ewa”, Łódzkie Zakłady Wyrobnów Metalowych oraz kilka spółdzielni.

Wszystkich naszych wystawców — ten, producentów z Łodzi i województwa — trudno byłoby wymienić i wcale nie o to przecież chodzi. Rzecz nie w tym, kto wystawia,

ale co i z jakim to spotkało się przebiegiem.

„Metalexport”, który zajmuje się m. in. sprzedażą szlifierek „Jotesa” i krosien „Wifamy”, utrzymuje kontakty handlowe z 60 krajami. Dla tych odbiorców, jak też dla nowych przeznaczonych stoisko „Metalexport”. Wystawiono tam 34 obrabiarki do metalu. Z tego mniej niż połowę — 40 proc. — można sprzedać od razu — „na piu”. I to już godny odnotowania postęp, bo jeszcze w ubiegłym roku więcej niż połowa eksponatów to prototypy — około 60 proc.

Można się zastanawiać, jaki jest sens wystawiania eksponatów, którym na dobrą sprawę nie można handlować. Jako sygnał dla zagranicznych kontrahentów? Jako orientacja w kierunkach rozwoju polskiego przemysłu, jego poszczególnych dziedzin? W tym na pewno jest jakiś sens, ale nie zapomnijmy, że jedną z naszych przemysłowych wad jest nieterminowość. „Cetebe” np. skarży się, że wiele zakładów nie dotrzymuje terminów i dzięki temu Polska traci i tak z trudem zdobyte rynki.

„Metalexport” wystawia np. krosno mechaniczne typu „Lancjer”, którego produkcję na licencji „Saurera” Łódzka „Wifama” rozpoczęła za kilka miesięcy. „Universal” pokazała żyłkę. Jest to żyłka typu „Silver”. Produkcję seryjną przewiduje się również za kilka miesięcy. W sprzedaży polskie „silvery” mają być pod koniec bieżącego roku. W tym mniej więcej czasie mogą praktycznie dotrzeć do zagranicznych odbiorców.

W handlu — tak jak w wielu innych dziedzinach życia — obowiązują szybkość. Kto szybciej dostarczy towar ten jest lepszy. Produkcować szybko można wtedy kiedy ma się do dyspozycji rezerwy moce. W wielu zakładach jest wiele nie wykorzystanej mocy produkcyjnej.



Z teki ŁTF.

Fot. K. Janaszewski

Ujawnić ją można tylko w drodze dalszych zmian organizacyjno-technicznych, w drodze systematycznego wprowadzania postępu technicznego — jednego z warunków skrócenia i tak ciągle jeszcze długiej drogi od pomysłu do przemysłu. Tak więc pokazujemy również to, na co nas stać, ale pamiętając przy tym, że termin w międzynarodowym handlu rzecz święta — nienaruszalna. Tym lepiej będziemy handlować, im bardziej będziemy dotrzymywać terminów.

Zasada ta powinna być „nienaruszalna” jeszcze i dlatego, że polski przemysł i polski handel zagraniczny wzięły kierunek na specjalizację. Specjalizacja w handlu zagranicznym będzie — w miarę rozwoju — wywierała decydujący wpływ na charakter naszej ekspozycji. Już obecnie jest to do zauważenia. Wobec tego rodzi się pytanie, czy nie wywrze to wpływu na charakter samych targów? W Poznaniu latem 1968 roku polski przemysł lekki, który ma tak wielkie znaczenie dla regionu łódzkiego, nie odgrywał większej roli. Owszem ekspozycja 3 central: „Cetebe”, „Confeximu” i „Skórimpexu” była nawet ładna i interesująca. Pokazano interesujące tkaniny, szczególnie jedwabne, ale uwaga świadomych i handlowców koncentrowała się głównie koło spraw przemysłu ciężkiego, maszynowego, elektroniki, przemysłu motoryzacyjnego i maszyn budowlanych. Dużym zainteresowaniem cieszyły się wyroby przemysłowe przeznaczone do codziennego użytku — domena „Universalu” czy „Copexim”. I wydaje się, że te zainteresowania pokrywają się z kierunkami naszych wysiłków w rozwoju produkcji przeznaczonej na eksport. Zatem, czy MTP nie będą ewoluowały w kierunku targów specjalistycznych? Czy bliższe w czasie i terytorialnie Międzynarodowych Targów w Lipsku nie będzie

również czynnikiem korygującym w kształtowaniu się specjalistycznego charakteru MTP?

W Lipsku specjalizacja stała się już faktem dokonany. Wiosenne Targi Lipskie noszą charakter targów technicznych, przy czym w domach towarowych ekspozycje artykułów przemysłowych codziennego użytku, np. meble i wyposażenie biur, tkaniny i odzież, oświetlenie mieszkalne i sal, zabawki itp. Jesienne Targi Lipskie mają wyłącznie charakter targów poświęconych artykułom przeznaczonym do bezpośredniego użytku przez klientów. Są to w zasadzie targi dla domów towarowych.

Lipsk spełnia też, co dla Poznania ma wielkie znaczenie — rolę miejsca spotkań przemysłowców i handlowców ze Wschodu i Zachodu. Trzecim takim miejscem spotkania jest Brno. Targi w Brnie noszą już wyraźnie specjalistyczny charakter. A zatem, w którą stronę idą MTP?

Dziś jeszcze trudno dać odpowiedź na to pytanie. Jedno już jest oczywiste. MTP są targami nie producentów a central handlowych. W kolekcji „Cetebe” możemy domyślić się tkanin jedwabnych z „Pierwszej”, wełnianych z „Gwardii Ludowej” czy bawełnianych z „Marchlewskiego”. W kolekcji polskich kosmetyków są wyroby łódzkiej „Ewy”, ale wszystkie polskie kosmetyki — zdobywające zresztą z powodzeniem rynki zagraniczne — występują pod wspólną marką „Polena”. I takich przykładów można przytoczyć więcej, bo w końcu cała oferta „Cekopu” jest ofertą polskiego przemysłu. I tu już nawet nie ma co marzyć o popularności znaku fabrycznego. Jest to naturalny skutek podziału pracy. Dowód rozwijającej się specjalizacji produkcji w poszczególnych fabrykach, które na rynku zagranicznym występują pod firmą centrali handlowej.

J. G. BALLARD

MARTY OLBRZYM

Wczesnym ranem, po burzy, martwe zwłoki olbrzyma wyrzucone zostały przez fale na pobliską plażę, pięć mil na północny zachód od miasta. Pierwszą wieść o tym wydarzeniu dostarczył nam lokalny farmer, potem wieść ta potwierdziła lokalna gazeta i policja.

Doszedłszy do plaży, stwierdziliśmy, że wokoło, na pobliskich wydmach, zebrał się już pokójny tłum ludzi — o dwadzieściu metrow od nas, w wodzie, o tej porze pływającej, leżały zwłoki. Z początku relacje o gigantycznych rozmiarach topielca wydawały mi się znacznie przesadzone. Była pora odpływu, całe niemal zwłoki olbrzyma były widoczne, on sam wszakże wydał mi się nie większy od dużego rekina. Cetorhinus maximus, z gatunku tych, które lubia plawić się w słońcu tuż pod powierzchnią wody. Olbrzym leżał na wznak, ramiona miał wyciągnięte wzdłuż ciała, był jakby w śnie, śpiący na łusce mokrego płasku. Wyglądała skóra tymczasem w miarę, jak odświeżona i obciążona się wciąż poziom wody. W jasnym słońcu zwłoki bliznęły podobnie, jak upierzone na biel morskich ptaków.

Przejeżdżając widokiem, i nieskorzy do przyjęcia pospiesznych objaśnień, jakich dostarczał nam wokół tłum, zeszliśmy niżej (kilku moli koleków i ja) — na iskrząca się zwierzęcą plażę. Nikt nie kwapił się jakoś, by

podejść bliżej ku olbrzymowi i pół godziny minęło, zanim dwóch rybaków, ubranych w długie po kolana, gumowe buty, zdecydowało się wreszcie na niepewny marsz przez płasek plaży. Z obawy, gdy rybacy dobrnęli tuż do leżących zwłoki olbrzyma, wśród tłumów widzów rozległ się nagły przystępny zrazu okrzyk zdziwienia — rybacy byli jak karły wobec bliznących zwłoki topielca. Aczkolwiek plety olbrzyma pokrywała woda, sterczące ponad powierzchnię stopy były co najmniej dwa razy wyższe od stojących tuż obok postaci. Nagle uświadomiliśmy sobie, że leżący przed nami olbrzym był pod względem masy i rozmiarów większy od największego nawet kaszalota.

Rybacy wspieli się teraz na zwłoki i szli, przystając co jakiś czas, wzdłuż białej nogi. Obejrzawszy palce leżące tuż obok reki, zniknęli między ramieniem i pierśmi, po czym wynurzyli się na głowie i zaskłaniając oczy od słońca, przyglądali się zrokiem profilowi twarzy. Gładość ciała, prosty nos i lekkie wygięcie warg przypominały rzymską kopię rzeźby Praksytelesa.

Nagle wśród tłumy rozległ się krzyk i setki rąk zaczęły wskazywać na coś w kierunku morza: jeden z rybaków wspiął się na pierś olbrzyma i przechadzał się tam i z powrotem, zaczął machaniem reki przyzywać tłum stojący na brzegu. Odpowiedział mu ryk zdziwienia i triumfu, po czym wszyscy, jak jeden, rzucili się w kierunku zwłok.

W miarę jak zbliżaliśmy się do leżącej postaci, która otaczała jezioro wody wielkości pola, gorączkowo pomruki tłumy milkły, niewątpliwie pod wrażeniem gigantycznych wprost rozmiarów kolosa. Leżał on nieco na w skos do linii wody, z nogami wyciągniętymi w kierunku plaży, i to w pewnym stopniu kamuflowało prawdziwość jego rozmiarów. Pomimo, że rybacy przechadzali się bezkarnie po brachy olbrzyma, tłum zatrzymał się w przyzwolonej odległości od zwłok i tylko tu i ówdzie małe grupki osób zaczęły się ostrożnie zbliżać do rąk i stóp.

Moi towarzysze i ja, obesłaliśmy olbrzyma wokoło. Od strony morza, kłatkę pierświata i biodra topielca wznosiły się nad nami jak kadłub rozbitego o skały statku. Pod perłową skórą, napuchłą od wody morskiej,

widać było jeszcze kształt ogromnych mięśni i ścięgna. Wokół podkurzonego lekko lewego kolana widać było obłazki wody i mchem zielsko. W poprzek przebiegał brzuszek, jak gdyby czyniąc zadose przykrocie, o przystawności, leżał kawał grubo tkanego materiału, wypłowiałego w wodzie. Od tkaniny tej doszedł nas mocny zapach solanki, zmieszany ze słodkim, lecz równie mocnym zapachem skóry olbrzyma.

Zatrzymaliśmy się koło ramienia, przypatrywaliśmy się przez chwilę nieruchomemu profilowi. Topielec miał wargi lekko rozwarłe, oko nieco przykryte i zamglone. Jakby ktoś wsadził w nie troche błękitnego płynu, ale delikatność dziurki od nosa i brwi, nadawała twarzy jakiegoś dziwnie wspaniałego uroku, który był silniejszy od animalnej niemal mocy ramienia i piersi.

Ucho olbrzyma wisiało ponad naszymi głowami jak ogromne, rzeźbione drzewo. Gdy podniosłem rękę, by dotknąć zwłoki, ktoś z tłumu, ktoś pojawił się na krawędzi czoła i coś zawołał. Przestraszony nieco tą złąwą, cofnąłem się o krok, ale była to tylko gromadka młodych chłopców, którzy bawili się, biegając po twarzy olbrzyma, popychając się nawzajem w chronione powiekami gałki oczne.

Zwłoki topielca, którego wyciągnięte ramiona tworzyły jak gdyby dwie naturalne klatki schodowe, pokryte już były tłumem ludzi. Poprzez dłoń i przedramię wbiegali teraz na loki, po czym wspinali się na wzdęty od wody męski ramienia i piersi, pokrywając je gładką górą ciała nie owionymi sionymi. Stąd wdrapywali się na twarz — wzdłuż warg i nosa, lub zbiegali po brachy, by podać rękę innemu, wspinającemu się po kostce, czy też przyglądać się jeszcze innemu, próbującemu wdrapywać się po kolumnie bioder.

Obchodziliśmy wokół olbrzyma, zatrzymując się wreszcie przy płasko rozwartą prawą dłoń. Pośrodku dłoni składała się dość duża kałuża wody, jakby osad innego świata, przez którą brnęli ludzie zdążający w kierunku ramion. Próbowałem odczytać linie, jakie przebiegały jeszcze po skórze dłoni, bragnac znaleźć klucz do zagadki, jaka była topielec, ale onuchłość tkanek już nie miała stacza, niszcząc w ten sposób wszelki ślad, po którym

dość można byłoby może tożsamości czy tragicznego losu olbrzyma. Potęga mięśni i przęba zdawała się zakładać subtelności olbrzyma, ale delikatny kształt palców i paznokci, z których każdy był symetrycznie przycięty, wskazywały na pewną złożoność i finezję charakteru, czego dalszym dowodem były greckie rysy twarzy, która teraz oblepiała jak muchy, tłum. Jakis chłopiec stał nawet wymachując ramionami, na samym czubku nosa i wolał coś do swoich towarzyszy, ale twarz topielca była wciąż nieruchomo spokojna.

Wracając, usiedliśmy na chwile na piasku — w kierunku olbrzyma płynęły już teraz całe strumienie ludzi. Szesć się siedem łodzi rybackich, które zarzucały kotwicę niedaleko brzegu, tworzyły drugi dopływ widzów — brnąc przez płytką już wodę; załogi tych łodzi dobijały tłumnie do topielca, by z bliska przypatrzeć się niezwykłemu przecięciu łupow. Nieco później pojawiła się policja, próbując przez chwilę i niezbyt gorliwie, oczyścić z ludzi brzeg, ale przypatrzysz się topielcowi, policjanci zrywali widocznie z wszelkich zamiarów wprowadzenia porządku, bo w chwili potem zniknęli.

Godzinę później na plaży było już około tysiąca ludzi, z których kilkuset siedziało lub przechadzało się po topielcu, oblepiając jego ramiona i nogi, i kracząc nieustannie po martwych pierśsiach i brachy. Gromada młodych chłopców opanaowała głowę — spychali się nawzajem z policzków, zleźdzał jak po poręczach z gładkich pochylonych szkielet. Dwóch czy trzech siedziało okrzakiem na nosie, jeden weślnął się nawet do dziurki od nosa, skąd wymachiwał rekami i wydawał dźwięki podobne do szczekania psa.

Jeszcze później policjanci wrócili, przyprowadzając z sobą ekipę ekspertów z dziedziny biologii morskiej, związanych z miejscowym uniwersyteciem. Protestująca banda chłopców i większość ludzi spędzono z olbrzyma, na zwłokach — w okolicy nosa i czoła — została tylko garstka nieokielzanych duchów. Eksperti obesłali topielca wokoło, orzytakując w żywej rozmowie głowami. Gdy doszli do wyciągniętej reki najstarszy ranga policjant zaoferował pomoc w podsadzeniu ich na dłoń, ale oferta jego została pospiesznie odrzucona. Po odejściu policji i ekspertów tłum zaczął

się ponownie wgrzebywać na zwłoki i o plażę po południu, gdy moi towarzysze i ja, postanowiliśmy powrócić do domu, był już w pełnym posiadaniu terenu, oblepiwszy ogromne ramiona i nogi olbrzyma, jak gęsta chmura mew, obsiadająca wyrzucaną na brzeg rybe.

Plaża nie była tym razem tak gęsto zaludniona, dwie czy trzy setki ludzi siedzących w pewnej odległości od brzegu, przyglądały się bez szczególnego zainteresowania nierzlicnym innym, przybyłym widocznie z okolicznych miast, by obejrzeć topielca. Była pora pikniku. Przypływ morski wyrzucił zwłoki, dał już od morza, zmniejszając również ich powycie (głowa i ramiona były teraz widoczne), tak, że olbrzym zdawał się podwójnie ogromny, o wiele większy od łodzi rybackich, które zarzucały kotwicę opodal. Nierówności terenu sprawiły, że plety miał teraz wygląd w półku, piersi wyrzucone do przodu, głowę nieco przychylną, co nadawało mu postawę jakby znacznie bardziej hezyczna. Obrzeka od wody morskiej twarz, zdawała się gładsza i mniej świeża w wyrazie. Aczkolwiek olbrzymiść rozmiarów topielca wykluczała możliwość dokładniejszego ustalenia jego wieku, jak zresztą i charakteru, klasycznie kształtów nosa i ust, jaką zauważyłem poprzednio, wskazywała, iż był on męczyzna młodym i skromnym z usposobienia. Teraz wyglądał już prawie na człowieka w podeszłym wieku. Opuchłość policzków, grubość nosa i skroni, oraz lekkie zwrócenie oczu, przydawały mu znaną ospałość i leniwą dojrzałość, w której tkwiły już początki zepsucia.

Ten przyspieszony, pośmiertny rozwój „charakteru” olbrzyma — jak gdyby utajone elementy jego osobowości, przybrały były nagle pełną postać jeszcze za życia i pod wpływem jakichś nagiłych, lecz zupełnie dostarczających bodźców — bardzo mnie fascynował. Był on początkiem poddawania się temu wszystkiemu obejmującemu systemowi czasu, którego zaczęła jestesmy i my, cała reszta ludzka, i którego końcowym produktem są nasze ograniczone życia, milknące jak miliony wiatych zmarszczek w strząkanym wirze. Przystanęłam wreszcie tuż obok głowy olbrzyma, skąd obserwować mogłem dobrze coraz to nowych widzów i dzieł wspinające się po nogach i ramionach.

Gdy przekwitły kasztany



Dalszy ciąg ze str. 1

„Nasza klasa i dwie inne klasy dziesiąte udały się na wycieczkę do Łęczycy, ponieważ miasteczko to leży najbliżej śródka Polski”.

(21. X. 1966 r.).

„Studiówka jest tym szczególnym dniem, kiedy uczeń może z uśmiechem popatrzeć na swe codzienne zmagania i bez obawy wyszydzić wady swoich zwierzeń, ponieważ na porządku i rygor szkolny: tarcie i beret”.

(17. II. 1968 r.).

Ale kronika, pod koniec świadomości nieco ironizująca, oddaje tylko w części te „codzienne zmagania” uczniowskie w czteroletnim okresie nauki. Statystyka, suche, bar dzo suche liczby, są bardziej wymowne.

— Na początku, a więc w klasie ósmej — informuje profesor Wasilewski — gromadka moich podopiecznych była dosyć liczna, 44 uczniów. W klasie maturalnej skurczyła się do 30 osób. Tylko 26 z nich rozpoczynało naukę w naszej szkole.

Przyczyny odsiewu? Profesor prostuje się w fotelu. Zna dobrze swoich podopiecznych, ich zainteresowania i zdolności, poznał także warunki domowe swoich uczniów.

— Część tych młodych ludzi nie podolała obowiązkom — tłumaczy pan Wasilewski. — Tych mniej mi żal. Przyszli do szkoły, bo tak zdecydowali za nich rodzice. Szkoda mi jednak uzdolnionych i pilnych, którzy zrezygnowali, aby wcześniej podjąć pracę zarobkową, pomóc w domu. Chłopcy ze dwujęzycznej klasy przenieśli się do szkół podoficerskich, bo tam otrzymują bezpłatne wyżywienie i internat. Widziałbym wśród nich sporo kandydatów na studia.

Tak więc, po czterech latach „zmaganiach”, trzymając się stylu kroniki klasowej, zostało ich tylko trzydziestu. Dwadzieścia Trzy Wspaniałe i Siedmiu Wspaniałych. Na egzaminie dojrzałości definitywnie „ścięła się” jedna z dziewcząt, sierota, która opiekowała się macochą. Dwie inne, które nie przebrnęły przez egzamin pisemny, mają szansę zdawania po wakacjach. Pewnie skorzystają, choćby po to, aby wcześniej zamknąć ten szkolny, ogólnokształcący etap. Ale majowe potknięcie na egzaminie i tak będzie je wiele kosztowało.

Wśród tych porannych obserwatorów pojawia się nagle grupka mężczyzn w skórzanych kurtkach i czapkach z daszkami, która „zawodowym okiem” zaczęła się przyglądać krytycznie obryzani, mierzach krokami obliczenia w piasku. Doszedłem do wniosku, że byli to pracownicy wydzielu robot publicznych i innych specjalnych instytucji, których przysłał tu specjalnie po to, by wykalibrowali, co zrobić z tą ogromną masą ciała, wyrzucaną przez morze. Wkrótce potem pojawiło się jeszcze kilka osób, bardziej elegancko ubranych, właścicieli cyrku i podobnych. Z rękami w kieszeniach, podchodzili się tu i tam, przyglądając się obryzani w milczeniu. Po namyśle uznali, widocznie, że zwłoki to nie jest to, co im potrzebne. Nawet dla ich gigantycznych projektów, bo zniknęli za chwilę bez słowa. Zostali dzieł, biegające po ogromnych ramionach i nogach, i grupach chłopców, bawiących się w zapamiętanie na biernej twarzy obryzany; mokry piasek sypał się z ich stóp w patrzace nieruchome oczy.

Trzecia z kolei wizyta zaplanowałem specjalnie na późne popołudnie. Ludzi na plaży było tym razem jeszcze mniej, nie więcej niż ośdziesiąt czy sześćdziesiąt osób, zwłoki obryzany morze wyrzuciło jeszcze dalej na brzeg tak, że tkwili teraz nie dalej niż kilkadziesiąt metrów od wydm. Stopami dotykał gnijącego drewna, które służyło niegdyś do łapania fal. Pochyłość twardszego tu piasku sprawiała, że tułów przekrewny został w kierunku morza, twarz miał odwrócona, jak gdyby świadomie. Usiadłem opodal i przez dłuższy czas przypatrywałem się zwłokom.

Wydawała się topelem utraciła do reszty swój perłowy połysk i oburzoną była brudnym piaskiem. Miedzy palcami tkwili tu teraz grudy zielska; w zgłębieniach skóry na biodrach i kolanach widać było śmiecie i odpadki. Mimo to wszakże, i mimo coraz wyraźniejszego grubienia rysów, obryzany wciąż jeszcze miał w sobie wyraz jakiegoś homeryckiego wspaniałości. Ogromny łuk ramion i kolumnowa gigantyczność ramion i nóg wciąż jeszcze przypominały postać z innego świata, obryzany był bardziej prawdziwym obrazem utopionego arystokraty czy bohatera z Odyssei niż wizerunkiem konwencjonalnie pojętego człowieka, jaki zachował, nie wiedzieć dlaczego, z poprzednich obserwacji.

Podszedłem bliżej, obchodząc po drodze płytkie kałuże wody. Dwóch małych chłopców siedziało w uchu obryzany, dalej, na drugim końcu ktoś usadowił się wysoko na jednym z pałeczek u nogi. Zrodnie z planem, który zakładał wizytę na te późne porę dnia, nikt nie zwracał na mnie zbytnio uwagi; kilka par leżących na piasku, zajętych było swoimi sprawami.

Rozwarta dłoń obryzany pokryta była masą polamanych muszli i piaskiem, w którym widać było jeszcze ślady stóp. Tuż nad mną wznosiła się wysoka kolumna błota, zakrywała sobą otwarte morze. Śledkawałszy zapach, który pamiętałem jeszcze z pierwszych odwiedzin, był tym razem jeszcze mocniejszy; pod nieprzeziębłą skórą dostrzegłem wezwane zwoje zastygłych naczyni krwionośnych. Jakkolwiek wstrętne może się to wydawać, ta nieustanna przemiana, to przechodzenie ciała w śmierć, sprawiło, że wszedłem na zwłoki.

Posługując się sterującym kciukiem obryzany jak poręczą, wspierałem się na dłoni i poszedłem dalej. Skóra była twardsza niż myślałem i ledwie się poddawała. Szybko przeszedłem przez spadziste przedramię i opuchły balon muskułów, op prawiej stronie wznosiła się nade mną twarz; pieczęć przypominająca dziurkę od nosa i zwiastujące polacie podobne były do dożywczego, koszmarnego wulkanu. Przeszedłem przez ramię, zeskokczyłem na szeroka płaszczyznę piersi, w poprzek której, jak obryzany krokwie, przebiegały kościście łańcuchy klatki piersiowej. Biała skóra splamiona była ciemniejszymi smugami niedzielnymi krokwiami ludzkimi, wśród których odróżnić można było wyraźnie ślady wyskoków obszaru damskich. Ktoś zbudował małą klatkę z piasku w samym środku mostka, wzrębałem się więc na te na pół zniszczoną budowlę, by się lepiej roznieść.

Dwóch małych chłopców wydrapało się wreszcie z muszli usznej i bawiło się teraz tuż obok prawego oka, które niebieski krag, pokryty doszczętnie jakby mlecznym pyłem, patrzył nieruchomo na małą postać krząta-

jącą. Matura to niestety jeszcze nie zawód, to tylko matura. Kiedy obie otrzymają wreszcie świadectwo dojrzałości, we wszystkich szkołach typu półwysokiego i na wyższych uczelniach miejsca będą już zajęte. Więc trzeba będzie pójść do pierwszej lepszej pracy, która po „ogólniaku” zaoferuje biuro za trudnienia, o cały rok przesunąć realizację planów i ambicji życiowych.

W podobnej sytuacji znajdują się także te ich koleżanki i koledzy, którzy świadectwo dojrzałości uzyskali bez przeszkód, ale potkną się przy kolejnej próbie egzaminacyjnej.

— Na wyższe uczelnie — informuje profesor Wasilewski — składa dokumenty 18 osób. Będą zupełnie szczerzy. Niestety, nie wszyscy rokują pełne nadzieje, że zdadzą.

2

Z dziennika lekcyjnego klasy XI c odpisuję sobie nazwiska i adresy. Matury dawno zakończone, świadectwa rozdane, aby więc spotkać się ze świeżo upieczonymi absolwentami, trzeba wsiąść w samochód i spróbować dotrzeć do każdego z osobna. Blisko trzydziści osób; złożenie tylu wizyt wymagałoby właściwie kilku dni. Po namyśle decyduję się na „reprezentację”. Z pomocą profesora Wasilewskiego wybieram tylko część nazwisk, tak jednak dobranych, aby stanowił pewien przekrój socjalny byłej klasy XI c. Są na mojej liście abiturienti najlepsi i ci zupełnie przeciętni. Absolwenci, którzy aktualnie zdawać będą na studia i ich koledzy, którzy według rozważań szkoły zrezygnowali tymczasem z takich planów. Dzieci z rodzin inteligentnych i z rodzin robotniczych, które w klasie stanowiły większość.

Każdy, kto zdawał egzamin dojrzałości, zna doskonale to uczucie odprężenia i euforii po rozdaniu świadectw, kiedy człowiekowi zda się, że się do ulicy w mieście staje się szersze i domy ustępują z drogi.

Wsiadłem do „wolni” i kierowca powiedział:

— A bo my ich spotkamy w taki upał? Szkoda mojej i pańskiej fatygi, nie mówiąc o samochodzie.

Zapomniał, że do rozdania świadectw upłynęło już kilka dni; czas całkowicie wystarczający, aby abiturient uzmysłowił sobie to

zawieszenie pomiędzy niebem i ziemią, kiedy na nowo budzą się wątpliwości i obawy: zdam?, nie zdam?

W chwili potem stukaliśmy do mieszkania Marysi Przyłęckiej, przepraszam, pani Marii Przyłęckiej. Zastaliśmy tam jeszcze dwie jej koleżanki szkolne, panią Maigorzatę Rejchelt i również panią, Marię Maciejewską. Cała trójka zamierza podjąć studia w Akademii Medycznej, chociaż każda z dziewcząt na innym wydziale. Myślały o tym już dawno, dlatego właśnie zdecydowały się zapisać do liceum, w którym była łacina. Poza tym w szkole należały do kółka biologicznego.

Czy są zadowolone ze swego wyboru? Spojrzały na mnie jakoś dziwnie. Marzą o tym, żeby dostać indeksy, powiedziały. Tak, jedna z nich myślała trochę o szkole plastycznej, tylko że takie studia nie dają chyba chleba. Pani Maria, która będzie zdawać na wydział lekarski, przyznała się, że rozważała również możliwość studiowania psychologii. Ale to upadło, bo nie ma warunków do nauki poza Łodzią; jest jeszcze rodzeństwo, które także myśli o studiach, więc rodzice nie podaliby chyba finansowo.

Na żadne kursy dokształcające dziewczęta nie uczęszczają. Po prostu wspólnie przerabiają jeszcze raz program egzaminacyjny. To powinno chyba wystarczyć — Spojrzały z niepokojem.

Potem wspólnie pojechaliśmy na dawne osiedle Scheiblerowskie, dziewczęta zaoferowały się za przewodników. Tam mieszka kilka koleżanek i kolegów z klasy, bo kiedy szkoła mieściła się na ulicy Targowej, dopiero potem budynki przejechała filmówka, a oni, z całym majdanem przenieśli się na ulicę Nową, także niezbyt daleko od famulu.

Najpierw odwiedziliśmy panią Jadwigę Magnuszewską, która postanowiła zdawać do szkoły położnych. Nie lęka się, że trzeba będzie wyjechać z Łodzi, przyjechała się do myśli, że podejmie pracę w służbie zdrowia. Podobna jej się zawód położnej, lubi dzieci. Ma nadzieję, że zda egzamin do tej szkoły, należała przecież do kółka biologicznego, w przedmiotach kierunkowych czuje się mocna. Przygotowuje się do egzaminu z koleżanką, która mieszka przez ścianę. Siedzą nad książką do trzeciego rano, potem zaczynają im się kleić oczy, więc przerywają naukę.

Kolejne mieszkanie — pani Krystyna Langer. W szkole interesowała się zawsze przedmiotami ścisłymi, postanowiła więc zdawać na chemię spożywczą. I zapisała się na taki kurs przygotowawczy, który na Politechnice Łódzkiej zorganizował ZMS. Dwa razy dziennie po trzy godziny, rano i po obiedzie. Studia wybrała sobie sama, rodzice się nie miesza. Zresztą nie posłuchałaby ich, gdyby robili jakieś naciski.

Jeszcze jeden kandydat na studia — pan Wojciech Waleza. Wybrał sobie wydział mechaniczny na Politechnice, wie, że to trudne studia, od znajomego inżyniera, który w tym roku zrobił dyplom, ale powinien chyba dać sobie radę. Owszem, trochę majsterkował, a oprócz tego grał w „Starcie” w juniorach w piłkę nożną.

Wreszcie ostatni nasz rozmówca, pan Andrzej Putko. Odnaleźliśmy go w „Parku Źródłiska” z kilkunastym rożem. „Na maturę, powiedział, otrzymałem od rodziców wspaniały prezent — wolność”. Opowiadał kilka szkolnych anegdot, ale tego niech pan nie notuje, zaznaczę.

Jeśli chodzi o studia, to właściwie nie miał wyboru. Tylko historia. To się zaczęło, kiedy kryminały odniósł na bazar i kupił sobie kilka poważnych książek, które zrazu go nudziły. Potem zmógł je i zapragnął nowych. Zaczął też zbierać znaczki pocztowe, które traktuje jako dokumenty epoki. Niedawno mógł sprawdzić swoje umiejętności na turnieju wiedzy historycznej. W nagrodę zdobył prawo uczestniczenia w wycieczce do Moskwy.

Reporter chciał także porozmawiać ze

Stanisławem Woźniakiem. Nie zastałem chłopaka w domu, poszedł się uczyć do kolegi. „U nas nie ma warunków” — wyjaśniła matka, zapraszając mnie do jednej izby rozdzielonej na dwie części szafą. Stanisław Woźniak wybiera się na geograf, i matematykę, bardzo lubi ten przedmiot. I matematykę, dodaje jeszcze jego matka. „Tylko boję się, czy będzie przyjęty, bo słyszałam, że przyjmują tylko tych, co są na urzędzie”.

Odwiedziłem jeszcze dwa mieszkania absolwentów, którzy zrezygnowali tymczasem z wyższych studiów. Jedną z dziewcząt (po stanowiliem tu pominąć nazwiska) podjęła już pracę w PSS, dostała zatrudnienie w rachubie. Pensja 1100 zł. Miała zamiar zdawać do szkoły ekonomicznej, ale postanowiła pomóc rodzicom: 6 osób na utrzymaniu, zarobki 3.000 zł. „Sam pan widzi, nawet krzesel u nas nie ma — skarży się matka dziewczyny. — Córka, jak jeszcze chodziła do szkoły, pisała o stypendium. Przysłyż jakiegoś panie z komisji, powiedziała, że mieszkanie jest ładnie umalowane, to stypendium się nie należy. A to ma malować”. Druga absolwentka sama zrezygnowała z dalszej nauki, mimo zachęty rodziców. „Oboje pracujemy na tkalni, dobrze zarabiamy, córka może studiować, choćby i dziesięć lat. Ale ta matura bardzo ją zmęczyła. Ile ona noc nie przespała”. Mają nadzieję, że w przyszłości córka jakieś studia jednak podejmie. Na razie rozglądają się za jakąś pracą dla niej. „Ale nie ma pośpiechu: po wakacjach, albo dopiero od nowego roku”.

3.

Jest to pokolenie, które przyszło na świat w połowie wieku, rocznik 1950, okrągła cyfra. Sami nie przywiązują do tego wagi, a życie traktują poważnie, może zbyt poważnie jak na lata, które sobie liczą. Realnie oceniają możliwości i w oparciu o nie budują swoje życiowe plany. Może nawet za mało w nich fantazji. W całej klasie nie znalazł się nikt, kto by chciał zostać aktorem, podrywaczem, reżyserem filmowym czy pisarzem choć gwoźli sprawiedliwości wypada poinformować, że jeden Wspaniały będzie próbował szczęścia w szkole morskiej. Romantyzm? To tylko jeden z tematów pracy maturalnej. „Romantyzm na sercu, na watrobie pozytywizm, Młoda Polska pod kolanem” — powie obrazowo jedna z dziewcząt o ściągawce, która przy gotowała sobie na egzamin. „Część młodzieży ma ambicje studiowania, ale nie ma ambicji uczenia się” — zaszereguję te postawy wychowawca.

Skąd czerpaliby wzorce swoich postaw? Jeśli wierzyć temu, co sami o sobie mówią — głównie z filmu. „Chodziliśmy przeważnie do kina, albo do „Magnolii”. „Magnolia” to taka kawiarnia na Widzewie, niedaleko szkoły. „Na książki raczej nie mieliśmy czasu, poza lekturami obowiązkowymi” — poskarży się jedna z maturzystek. Duże wrażenie zrobił na nas „Popiół i diament” — powie inna. To też z kręgu obowiązkowych lektur. Ulubieni pisarze? Lista raczej krótka: Broniewski, Dąbrowska, Orzeszkowa. Nie, nie ma w nich nawet cienia snobizmu.

„Wszystcy lubimy Niemena” — usłyszałem od kandydatki na Akademię Medyczną. O Czesławie Niemencie, nawet nie pytani, mówili wszyscy moim rozmówcy.

Szczęście? Większość jest zadowolona z tego, co już posiada. „Skończyłem studia, ożeniłem się” — zwierzy mi się chłopak z robotniczej rodziny. „Posiadam własny domek, choćby nieduży, zdobyć zawód” — wygłosił swój sąd o szczęściu kandydatka na studia, która przyznała mi się, że o wyborze kierunku decydujące są dla niej motywy materialne. Tylko jedna wypowiedź odstawała wyraźnie od pozostałych. „Myślę o dokonaniu wynalazku, chociaż wiem, że trzeba będzie zrezygnować ze szczęścia osobistego”.

Przyjmując te oświadczenia z dobroniejstwem inwentarza. Bo wierzę, że życie raz tych młodych szaleństwem.

KONRAD FREJDLICH

Wśród tych porannych obserwatorów pojawia się nagle grupka mężczyzn w skórzanych kurtkach i czapkach z daszkami, która „zawodowym okiem” zaczęła się przyglądać krytycznie obryzani, mierzach krokami obliczenia w piasku. Doszedłem do wniosku, że byli to pracownicy wydzielu robot publicznych i innych specjalnych instytucji, których przysłał tu specjalnie po to, by wykalibrowali, co zrobić z tą ogromną masą ciała, wyrzucaną przez morze. Wkrótce potem pojawiło się jeszcze kilka osób, bardziej elegancko ubranych, właścicieli cyrku i podobnych. Z rękami w kieszeniach, podchodzili się tu i tam, przyglądając się obryzani w milczeniu. Po namyśle uznali, widocznie, że zwłoki to nie jest to, co im potrzebne. Nawet dla ich gigantycznych projektów, bo zniknęli za chwilę bez słowa. Zostali dzieł, biegające po ogromnych ramionach i nogach, i grupach chłopców, bawiących się w zapamiętanie na biernej twarzy obryzany; mokry piasek sypał się z ich stóp w patrzace nieruchome oczy.

Trzecia z kolei wizyta zaplanowałem specjalnie na późne popołudnie. Ludzi na plaży było tym razem jeszcze mniej, nie więcej niż ośdziesiąt czy sześćdziesiąt osób, zwłoki obryzany morze wyrzuciło jeszcze dalej na brzeg tak, że tkwili teraz nie dalej niż kilkadziesiąt metrów od wydm. Stopami dotykał gnijącego drewna, które służyło niegdyś do łapania fal. Pochyłość twardszego tu piasku sprawiała, że tułów przekrewny został w kierunku morza, twarz miał odwrócona, jak gdyby świadomie. Usiadłem opodal i przez dłuższy czas przypatrywałem się zwłokom.

Wydawała się topelem utraciła do reszty swój perłowy połysk i oburzoną była brudnym piaskiem. Miedzy palcami tkwili tu teraz grudy zielska; w zgłębieniach skóry na biodrach i kolanach widać było śmiecie i odpadki. Mimo to wszakże, i mimo coraz wyraźniejszego grubienia rysów, obryzany wciąż jeszcze miał w sobie wyraz jakiegoś homeryckiego wspaniałości. Ogromny łuk ramion i kolumnowa gigantyczność ramion i nóg wciąż jeszcze przypominały postać z innego świata, obryzany był bardziej prawdziwym obrazem utopionego arystokraty czy bohatera z Odyssei niż wizerunkiem konwencjonalnie pojętego człowieka, jaki zachował, nie wiedzieć dlaczego, z poprzednich obserwacji.

Podszedłem bliżej, obchodząc po drodze płytkie kałuże wody. Dwóch małych chłopców siedziało w uchu obryzany, dalej, na drugim końcu ktoś usadowił się wysoko na jednym z pałeczek u nogi. Zrodnie z planem, który zakładał wizytę na te późne porę dnia, nikt nie zwracał na mnie zbytnio uwagi; kilka par leżących na piasku, zajętych było swoimi sprawami.

Rozwarta dłoń obryzany pokryta była masą polamanych muszli i piaskiem, w którym widać było jeszcze ślady stóp. Tuż nad mną wznosiła się wysoka kolumna błota, zakrywała sobą otwarte morze. Śledkawałszy zapach, który pamiętałem jeszcze z pierwszych odwiedzin, był tym razem jeszcze mocniejszy; pod nieprzeziębłą skórą dostrzegłem wezwane zwoje zastygłych naczyni krwionośnych. Jakkolwiek wstrętne może się to wydawać, ta nieustanna przemiana, to przechodzenie ciała w śmierć, sprawiło, że wszedłem na zwłoki.

Posługując się sterującym kciukiem obryzany jak poręczą, wspierałem się na dłoni i poszedłem dalej. Skóra była twardsza niż myślałem i ledwie się poddawała. Szybko przeszedłem przez spadziste przedramię i opuchły balon muskułów, op prawiej stronie wznosiła się nade mną twarz; pieczęć przypominająca dziurkę od nosa i zwiastujące polacie podobne były do dożywczego, koszmarnego wulkanu. Przeszedłem przez ramię, zeskokczyłem na szeroka płaszczyznę piersi, w poprzek której, jak obryzany krokwie, przebiegały kościście łańcuchy klatki piersiowej. Biała skóra splamiona była ciemniejszymi smugami niedzielnymi krokwiami ludzkimi, wśród których odróżnić można było wyraźnie ślady wyskoków obszaru damskich. Ktoś zbudował małą klatkę z piasku w samym środku mostka, wzrębałem się więc na te na pół zniszczoną budowlę, by się lepiej roznieść.

Dwóch małych chłopców wydrapało się wreszcie z muszli usznej i bawiło się teraz tuż obok prawego oka, które niebieski krag, pokryty doszczętnie jakby mlecznym pyłem, patrzył nieruchomo na małą postać krząta-

jącą się obok. Oglądana pod tym kątem od spodu, twarz obryzany, wyzuta była z wszelkiego spokoju i ładu. Ściągnięta usta i podniesiona broda, podparta obryzany zwojem muskułów, podobne były do straszkanego dzioła gigantycznego statku. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z niebezpiecznej wprost fizycznej arogancji obryzany, bolesnej, mimo iż nie był on świadom umierania swoich mięśni i tkanek. Albowiem samotność, ciepła, porzuconego tu jak straszkanego statek, na pustym brzegu, niemal poza zasięgiem szumu morza, zmieniła jego twarz w masę całkowitego udręczenia i beznadziejności.

Następne dwa dni spędziłem w bibliotece przy pracy, nie mając jak o choty do dalszych odwiedzin i świadom, że byłem chyba świadkiem nieuchronnego końca jakiegoś wspaniałej iluzji. Kiedy ponownie poszedłem nad morze, obryzany leżał już nie więcej niż dwadzieścia metrów od wydm i tu, na te szorstkich, pływowych kamieni, zniknęły już wszelkie ślady masli. Jaka otaczała go kilka dni temu. Pomimo gigantycznych rozmiarów, sińce i brud pokrywały zwłoki, czyniąc z nich coś bardziej podobnego do człowieka: gigantyczność jego postaci podkreślała jedynie jego beznadziejność.

Prawa ręka i noga zostały amputowane, wywleczone przez piasek i gdzieś odwiezione. Po rozmowie z grupką ludzi gapiących się na morze wywnioskowałem, że amputacji dokonała jakaś firma sztucznych nawozów i pokarmu dla krów. Lewa noga obryzany zawieszona była w powietrzu — przyczepiona do liny stalowej, najwidoczniej też przeznaczona na wywóz. W piasku wokół zwłok widać było ślady wielu stóp odzianych w ciężkie buty oraz kołnierzy, które zasnęły drogę, jaka wywleczono już ramiona i stopy. Przeszedłem kilka kroków dalej, dostrzegłem, że na szarej skórze obryzany, powypisywano ponadto żarłoczne hasła, swastyki itp., jak gdyby to rozczłonkowanie obryzany było czymś w rodzaju apelu do wyrażania żłości i gniewu. Plat jednego ucha przebiły był drzewa, a powyżej, pośrodku piersi, dogorywało ognisko, obspując sadzami czarna już skóra. Lekki wiatr rozwiewał wokół popiół ze spalonego ciała.

Minęło kilka tygodni zanim zdecydowałem się znowu odwiedzić topleca. Przez ten czas podobieństwo z czo-

wiekim, jakie niewatpliwie widoczne było na początku, zniknęło doszczętnie. Przy bliższym zbadaniu tułów i odwłok wciąż jeszcze przypominały kształt ludzki, ale w miarę, jak zaczęto odrabzać inne członki, od kolan i łokci poczyniły się skończony na ramionach i udach, kadłub upodabniał się zaczął coraz bardziej do kadłuba jakiegoś bezgłowego zwierzęcia morskiego — wieloryba czy rekina. Wraz z tą utratą tożsamości i tych kilku znamion charakterystycznych, które powstały przez jakiś czas zdołała zachować, ciekawość ludzka osłabła. Z wyjątkiem jakiegoś obdarstwa i dozorcy, siedzącego przed drzwiami budki, plaża była pusta.

Zwłoki obliczone były teraz jak gdyby w prymitywne rusztowanie; tu i ówdzie widać było zwisające drabiny, którymi korystał wiatr, wokół leżały zwoje lin, porzucone niedbale noże, szmury.

Obydwie końce udowe już gdzieś wywlezione — o tym, jak je amputowano, świadczył dźwigar, na który zarzucono resztki tkaniny pokrywającej niekiedy biała obryzany oraz puste działy w kadłubie, wyzierające jak ogromne wrota stołowe. Amputowano również ramiona i obojczyki. Resztki skóry na klatce piersiowej i brzuchu poznacone były smółką, niektóre płyty na przeponie brzusnej już wycięto — powyżej przezierna potężna kolumna żeber. Gdy odchodziłem, na plażę sfrunęła z ogromnym łoskotem chmura mew. Krzyżacz zaczęły łapczywie dziać zakrwawiony piasek.

Kilka miesięcy później, gdy pamięć o pojawieniu się obryzany niemal zupełnie zamarła, przeróżne części rozczłonkowanego obryzany znaleźć można było w najmniej oczekiwanych miejscach w mieście. Patrząc kiedyś przez okno biblioteki na największy w mieście sklep mięsny, rozpoznałem wiszące nad wejściem dwie końce udowe obryzany. Wisiały nad głowami przechodzących klientów jak złowidzkie megality jakiejś starej religii druidzkiej — przed oczami stanął mi nagle obraz obryzany podnoszącego się z kolan na tych końcach udowych i kroczącego przez miasto, by zbierać rozrzucone fragmenty siebie w powrotną drogę ku morzu.

Przełożył: KAZIMIERZ LINKE



HALINA
SOBCZAK—JARMOŁOWSKA

Wesele Hanki

Wieczór zapadał. Hanka przesunęła maszyny bliżej okna. Kończyła właśnie podzucić dół sukienki, gdy weszła matka.

— Co to, nie ubierasz się? Myślisz, że na ciebie będą czekać, albo drugi raz ślub weźmą?

— Zdażę, mam, już kończę, tylko jeszcze żelazkiem przeciągnę. Podobna ci się?

Dziewczyna stanęła w pewnej odległości przed dużym lustrem, wiszącym nad stołem kuchennym, przyłożyła do twarzy niewykończoną sukienkę. Złocien satyny w drobną łaczkę ładnie odbijała od jej czarnych włosów. Uśmiechnęła się do lustra.

— Zwariowałaś dziewczyno, w tym się na wesele wybierasz? masz przecież taftową czarną sukienkę, com ci zeszłego roku kupiła.

— Ależ mam, przecież nie idę na pogrzeb.

— Rób jak uważasz, tylko jak się panny ubiorą, to cię palcami między ludźmi wytykać będą — patrzcie Walaszczykówna na własne wesele oszczędza, to na cudze w domowej sukience przysła.

Dziewczyna określiła matkę dookoła, zaśmiała się. — Nie będą, nie będą, już się do moich włosów przyzwyczaił — przeciągnęła ręką po krótko ostrzyżonej czuprynie — to i sukienkę daruję. Jak myślisz, Staszku będzie się podobano?

— Będzie, nie będzie, pośpiesz się, bo nawet na wesele nie zdążysz, a i na ślubie wypadła być, uroczysty, trzech księży zamówionych.

Gdy przyszedł Staszek, była już prawie gotowa, szcztokowała włosy przed lustrem.

— Ładnie wyglądasz — powiedział — sama uszyłaś?

— Sama uszyłam i sama wymyśliłam — zaśmiała się dziewczyna. — Nie na próżno kończyłam kurs.

— Dziewczyny w mieście też noszą takie — widziałem.

— A ja widziałam w telewizji, jedna piosenkarka miała sukienkę prostą, gładką i z długim rękawem.

— Co ty, Hanuś, gwiazdą chcesz zostać?

— Chyba na wesele u Klimków, ale wiesz, Staszek, spróbujemy i tobie coś zmienić.

Wyciągnęła z szafy aksamitkę — Zawiaż to, mniej ojcowskie niż twój krawat. Nie gniewaj się.

— Coś ty, dziewczyno, to tacy z gitarą noszą, mnie nie wypada.

— Spróbuj tylko, bo inaczej będę ci mówiła wujku.

Chłopak zaczął przymierzać aksamitkę, wreszcie niezdecydowany powiedział — No, może nie najgorzej, ale pogniecione.

— Na to jest rada — dziewczyna podbiegła do pieca, potrzymała tasemką nad dziobkiem parującego czajnika.

Gdy wychodzili, matka zaśmiała się — A patrzcie uważnie w kościele i na wesele, potem jak znalazł, będziecie wiedzieli kiedy klęknąć i kogo najpierw częstować.

W kościele było mnóstwo ludzi. Wiadomo, Klimkówna bogata panna, a i pan młody nie gołysz. Jak Pan Bóg przykazał, całą wieś sprosił.

Idą teraz młodzi do ołtarza dostojni i piękni. Matka szłocha, koleżanki w taftach i stylonach, poszeptują z przejęciem i chichoczą z cicha, a na pannie młodej skrzy się błyszcząca, haftowana w srebrne kwiatki długa sukienia sprowadzona z miasta. Na ondułowanej głowie wokół wianuska welon pięknie ułożony, ciałnie się po dywanie. Panu młodemu lśni przedziałek w przylizanych włosach.

Hanka już kiedyś ich gdzieś widziała, ale przecież to niemożliwe. Przemyka oczy i widzi portret wiszący nad łóżkiem u Klimków, tak wyglądali starzy Klimkowie. Ile lat temu? Trudno powiedzieć, Klimkówą zawsze pamięta jako starą Klimkówą, i Klimek też do niej inaczej nie mówi, tylko „stara”.

Nachyla się do Staszka — Czy będziesz do mnie mówił — stara?

Chłopak spojrział na nią zdziwiony.

Patrzy na jego trochę niesforne włosy, i znów:

— Obiecuję, że nie uliżesz się jak Leszek, tak ci jest ładnie.

Teraz Staszek uśmiecha się, a Hanka widzi ich przez moment na miejscu tamtej pary. Widzi ich takich zwyczajnych, Staszka z rozwieszoną czupryną, z aksamitką, nie, z muszką chyba, a ją samą z tymi gładkimi krótkimi włosami, w prostej krótkiej sukience, z gołą głową. Nie, chyba jednak krótki welonik. I nie będzie żadnego portretu, bo wtedy Staszek mógłby zacząć mówić „stara”.

— Hanu, już idą.

JERZY WILMAŃSKI

Puk, puk MELPO MEN

Z nieba płynął duszny, skłębiony gorący kamienne ściany pałacyku przy Targowej parzyły przy dotknięciu a ci chłopczkowie w non-ironach i pod krawatami, ciemne garnitury, buł wizytowy...

Na pierwszym piętrze korytarz paradoksalnie długi, nie wiadomo nawet czy się w ogóle kończy... I w ten korytarz wbitych ciasno pod ścianami na krzesłach i stołach ponad stu Holoubków i tyleż Pol Raks.

Różne znam gieldy egzaminacyjne. Optymistyczno-radosne, kiedy uro-

czy i dobra profesor S. nie oceniała niżej czwórki — jak leci. Wieleż desperackie, kiedy profesor D. wyrzucił indeksy po jednym za skakującą tajemniczym pytaniu („czytał pan Reja — no i co?” — „ładne” — odpowiadał student i bomba leciała w indeks...).

Różne zatem znam gieldy, ale gielda na aktorskim egzaminie w PWSTiF ma w sobie coś z czarnej mszy.

Przed wszystkim była to gielda bez wrzawy. Cóż, przedniek świętyni sztuki. A może po prostu ci maturzyści z całej Polski nie mieli o czym ze sobą rozmawiać? Wiedzą przecież, że homo homini lupus — trup pościeli się gęsto, nie brzoś sobie jesteście, lecz konkurentami. Ponad dwustu kandydatów na piętnaście miejsc.

2.

Więc milczą. Pielęgnują w sobie marzenia o światłach rampy, dziecięce czasem marzenia, często bez pokrycia — ale zawsze to ich marzenia. Światła rampy, błyski fleszy, wywiady, okłaski widowni — ktoś o tym nie marzy mając osiemnaście lat. Uporczywa gra, dziesięć stron tekstu wkuwanego na pamięć,

wielogodzinne próby — ktoś o tym myśli mając osiemnaście lat. Z dwu stron aktorskiego medalu widoczna jest zawsze ta błyszcząca. Druga strona — tę szarą — poznaje się dopiero potem.

Żeby ją jednak poznać trzeba przejść przez piekło upału w pałacyku przy Targowej. No i oczywiście przez sito egzaminu. Komisja jest cierpliwa, wyrozumiała i ojcowska. Każde zdanie marynarki, gdy widzi, że kandydat ledwo dyszy pod elaną, częstuje truskawkami i szklaną kawy.

Co odważniejsi nie odmawiają — truskawka ledwo przeciska się przez gardło, żeby dzwoniła o szklankę... A na korytarzu czeka kamera filmowa — obsługa zgłębił czyni za całą ekipę „Faraona” — atmosfera, proszę państwa, atmosfera...

3.

Niepozorny blondynek odklepuje jak pacierz monolog Kordiana. Słowacki skreca się w grobie, wszyscy wielcy aktorzy Kordiana w historii polskiego teatru wyrażają z zaświatów pięściemi... A Komisja ani drgnie.

— Co pan przygotował z prozy — pyta Komisja.

Blondynek zaczyna pastwić się z kolei nad Czechowem. Temu dobrze — nie rozumie po polsku, więc śpi spokojnie. Potem piosenka. Leć teściuś parlandowany z zadyszka — „są sprawy, których nie zagłuszysz krzykiem, są sprawy, których nie zalejesz alkoholem”... Dalej nie pamiętam, ale do alkoholu rym był „ja chromole”. Moana rzecz.

Blondynek wychodzi bardzo z siebie zadowolony.

4.

Przyjechali tu z całej Polski pod drzwi, za którymi Melpomena... Przyjechało ich także sporo poślęgiem „ósma z minutami” ze stolicy. A stolica — jak wiadomo — ma przecież Szkołę Teatralną. Komisja więc dziwi się i pyta...

— Z głęboko osobistych przyczyn chciałabym studiować w Łodzi... — odpowiada pierwsza warszawianka.

— Zraziliam się do warszawskiej Szkoły Teatralnej — odpowiada druga.

Komisja nastrojona jest filozoficznie i wzdycha „a cóż mają odpowiedzieć, kiedy pewno już tam

sześciela próbowali”. Ale są i nie-spodzianki.

— Uważałam — mówi rezolucyjnie dziewczę — że jestem nie dość przygotowana...

No, ta się ładnie podłożyła. Zresztą nie szkodzi, bo brak zdolności dyplomatycznych, niestety nie jest w wypadku dziewczęcia wynagrodzony zdolnościami aktorskimi.

— Ale zdarza się i swoista kokleria. „Dlaczego pani nie stara się zdawać w Warszawie” — pyta Komisja kolejną warszawiankę.

— W Warszawie panuje opinia, że szkoła łódzka jest lepsza...

— No tak — w oczach Komisji iskierki rozbawienia — przekonała nas pani...

Naiwna dyplomacja dziewczyny nie była zresztą tak bezpodstawna. Rze czywiście łódzki wydział aktorski cieszy się w oczach fachowców „lepszą” opinią od warszawskiej PWST, która, choć miała parę „młotów” znanych dziś estradowców, nie wydała tylu dobrych aktorów dramatycznych co Łódź.

5.

Oczywiście te dziecinne zabiegi czy faux pas nie mają żadnego istotne-

ROMAN ŁOBODA

„Baba -Dziwo”

Teatr Powszechny, po bar dzo udanych takich spektaklach jak „Noc spowiedzi” i „Bereziacy”, zapragnął czegoś leższego ale i pikantniejszego.

Tragikomedia znakomitej poetki Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Baba Dziwo” miała być czymś w rodzaju relaksu repertuarowego po ważkich tematycznie i tragicznych w wymowie utworach Arbuzowa i Obidniaka.

Relaks udał się tylko częściowo. Wątki komediowe i subtelny dowcip Jasnorzewskiej wmontowane są bo-

wiem w strukturę groteskową i symbolizującą, jednakże to polityczne i społeczne szlaki to już tragedia.

Wyraźne aluzje poetki do totalizmu, dziś jeszcze, w trzydziści lat po krakowskiej prapremierze, nasuwają okrutne reminiscencje, przypominają dyktaturę faszystowską z jej wynaturzami i komizmem przerosłów graniczących z obłędem. Wówczas, w 1938 r. satyra polityczna tej sztuki miała określonego adresata, śmiech, który wyzwałała u publiczności, mógł być śmiechem obserwatorów i tylko u nielicznych mieszał się z obawą.

Teraz, gdy już wiemy do czego doprowadziła ta hitlerowska „groteska”, gdy od tego czasu wyrosło już pokolenie doktorantów — znów utwór Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej wywołują salwy śmiechu, ale obawa która w nim pobrzmiewa jest nie tylko obawa przewidywania — jest obawą pamięci.

— Ale zarówno z konstrukcji sztuki jak i jej klimatu nie wynika, że ideą inspirującą

poetkę była obawa o losy świata, że było to ostrzeżenie. Obsesyjny feminizm wyładowany w „Babie-Dziwo”, wątki społeczne, które posjonują autorkę, i nieco walczącej emancypacji to za sadnicze, ale nie wszystkie wątki tematyczne, które wy magaly nie tyle związania tezą nadrgną w sensie filozoficznym, co imperatywem społecznym determinującym socjologicznie wydarzenia.

Na tym gruncie poetka mogła już swobodnie rozprawić się z problemami, które na owe czasy nie były jeszcze tak oczywiste, mogła przez groteskową deformację uzyskać większą siłę argumentacji.

Konflikt jednostki z tyraną dyktatury to problem, nad którym z namietnością i siłą przepływa konflikt jednostki płci żeńskiej z tyraną mężczyzn. Wiadomo bowiem, że mężczyźni to nie dobrego... Ani jedna postać męska w „Babie-Dziwo” nie jest wyposażona w pozytywne cechy. Są to ludzie bez charakteru i z niewielkim rozumkiem. Za to asekuran-

ci, oportuniści i karierowicze.

Warto przyjrzeć się z bliska tym postaciom. Oto Nor man Gondor, pragnący powro tu do łask dyplomata i eks-minister.

Ryszard Sobolewski gra rolę pięknego Gondora, któremu uroda złamała karierę, bowiem dyktatorka Valida Vrana (Baba-Dziwo) nienawidzi zarówno pięknych kobiet jak i urodziwych mężczyzn. Już na wstępie widać, że umowność przyjętej konwencji daje poetce swobodę interpretacyjną zarówno w rysunku postaci, jak i ich funkcji w konstrukcji utworu. Autorka pozbawiła Gondora wszystkich cech i dobrych i złych, które by usprawiedliwily w jakimkolwiek sposób nie tyle utraconą pozycję społeczną, co jego logiczną funkcję w mechanizmie dramatu. Gondor jest nieczym i jako nikt, nie stanowi ognia tragedii. Grać kogoś, kto jest nieczym, nie jest łatwo. Pozostają małe ambicje i śmieszne tchórzostwa — eksminister jest postacią komedi, Sobolewski nie tworzy jednak bezbarw-

nej postaci. Wygrywa wszystko, co jest możliwe w tej roli z wdziękiem, umiarem i inteligencją.

Valida Vrana nienawidzi urodziwych mężczyzn. Czyżby jednak zrobiła wyjątek dla swoich adiutantów? Późna konsekwencja z jaką autorka prowadzi ten wątek komediowy, bo właśnie głównie mężczyźni są osobami komedii, nasuwa podejrzenie, że pomysł z dorodnym adiutantem nie od niej pochodzi. Gdyby jednak tak było, to postać dyktatorki w zamyśle poetki zyskałaby większą głębię psychologiczną. Freudowska hipoteza o kompleksach wynikających z niewyżycia seksualnego i wywodzących się stąd szerszych konsekwencjach, była wszak modna w latach międzywojennych.

Satysfakcja, płynąca z obcowania z dorodnym lecz tepym i bezwolnym osobnikiem płci męskiej oraz poniżanie ambitniejszych jednostek, jest odwiecznym odrębnym erotycznym kobiety.

Zbigniew Geiger i Andrzej Jędrzejewski interpretują rolę

role adiutantów zgodnie z powyższymi postulatami.

Jerzy Przybylski jak zwy kle zwraca na siebie uwagę jako Dyrektor Radia generalny czy jednak tym razem nie zbytym sparodiowaniem postaci?

Dalszych nieponiów płci męskiej grają: Zbigniew Niewczas — Dyrektor Radia programowy; Mirosław Szonert, bardzo zabawnie wcielił się w postać szpiega Nosza; komisie poborową tworzą: Tadeusz Sabara, Marian Wojciech, Stanisław Marian Kamiński, czysto prowadzi swoją rolę Muka Kormora, bohatera — rozpiłdowca, meża Agatki przodownicy polu.

Infantylny świat mężczyzn dopełniają bez uszczerbku dla zamysłu autorki.

Jerzy Szpunar, Ryszard Zubrowski (Poliejanc), Brunon Bukowski, Jan Proszak (Pielegniarze), Michał Szewczyk (operator i gazeciarz) oraz Luejan Wiernek — postać której Jasnorzewska udzieliła prolongaty na stan względnej normalności, uważając zapew-

Odczekali tłumek rodziny i podeszli złożyć życzenia. Marysia i Leszek mieli jakieś puste i przestraszone twarze. I znów zobaczyła siebie i Staszka. Chyba wtedy też potrafiła się uśmiechać. Przecież to musi być ładny dzień, bardzo ładny dzień, i potem dużo, dużo dobrych dni.

U Klimków bawili się we wszystkich izbach. Graty powynosił, zostały tylko stoły, krzesła i ławy dookoła. W jednej izbie tańczono. Zresztą gdzie nie tańczono. Przerywano tylko wtedy, gdy skrzypek Gajos wołał — Podlejcie, panie młody, bo mi smyczek się nie smyka!

Na to hasło muzykanci ruszali do swego stolika, a po każdej takiej wyprawie grali jeszcze zwałwie. Stoły uginęły się od jadła, a i wódki nie brakowało. Stary Klimek przepijał z każdym dopóki mógł utrzymać się na nogach, potem Klimkowa, zloręczając, wyprowadzając go do stodoły.

Wszystkie twarze są spoczone, czerwone — zauważyła Hanka — panna młoda w jasnych loczkach wygląda jak prosiaczek z mnóstwem zakręconych ogonków.

Gdy młody Wilczek po raz trzeci skradł jej pantofel, młody małżonek wręczając mu kolejną wykupną półlitrówkę, spojrzał z wściekłością na żonę i pociągnął ją do tańca. — Chodź, zatańczymy, bo ci jeszcze, niedarło, skradnie kto oba buty, a to już cały litr kosztuje.

— Pewnie cisną ją pantofle — pomyślała Hanka — To ona już teraz będzie „stara”, ale nie Klimkowa, dla odmiany Kmiecicowa.

Nie zauważyła jak to się stało, ludzie mówili, że młody Wilczek miał się ku Marysi, rzucił się na Leszka — Do kobiety jak mowisz, gadzie.

— To moja kobieta, i będę mówił jak zechcę.

Potem już tylko migwały ręce, nogi, krzesła, i przestraszone oczy Marysi. Wyglądała jak stara Klimkowa.

Gdy w miesiąc potem wybierali się do miasta, matka pochlipywała.

— Słyszysz to kto, jak Dążyce Dążycami, tak nie było.

— Jak nie było mamę? Przecież wesele będzie, nie takie wystawne jak u Klimków, im nie dorównamy; nie przez cały tydzień, ale takie małe przyjęcie — parę osób z rodziny, młodzi Kmiecicowie i jeszcze może Jadwiga z Bolkim, Wiesiek z Janeczka.

Matka pochlipywała coraz głośniej — Boga się nie boicie, taki wstyd, wszyscy proszą całą wieś, zapożyczyć się, a nie powstydzicie. Staszek pogłaskał teściową po włosach — Mamę, nie wszędzie ludzie tak forsa wyrzucają, kupimy sobie coś za to, pomyślimy.

Może gdzieś na wczasy pojeździemy, ja już trochę świata widziałem, rad bym go Hani pokazać. Spojrzała zdziwiona — A co jej tam być?

dziesz pokazywał, wszędzie lasy takie same jak nasz, i pola, i rzeki, a do miasta to i Hanka czasem jeździła, na kursy przecież chodzila.

— Tak myślę, że może byśmy w góry, albo nad morze, mamę, nad taką wielką wodę, pojechali.

Matka spojrzała uważnie — E, czego też wam się zachciewa, nad prawdziwe morze, takie jak w telewizji? To wsiowi też tam jeżdżą? — Przestała chlupać — To i ja bym sama chciała, ale taki wstyd przed ludźmi.

Gdy zrobili już wszystkie zakupy, szli główną ulicą rozmawiając o tym, jak najmądrzej wydać zaoszczędzone na weselu pieniądze. Widzieli się to w górach, to nad morzem, to kupowali motocykl, nowe meble, a może szklarnię by założyć w warzywniku Hani. Przyciągnęła ich uwagę kolorowa wystawa. Migotały świetne punkciaki: Złote Piaski, Taszkient, Balaton, Samarkanda, Dubrownik, przy każdej nazwie sznurczek cyfr. Spojrzeli po sobie urzeczeni. Pierwsza zaczęła Hania. — Wiesz, ja będę jeszcze miała pieniądze za zakontraktowaną cebulę. — Staszek uśmiechnął się.

Wszyscy wiedzieli, że ślub za tydzień. Płotkara Józwiakowa pierwsza puściła pogłoskę, że wesele nie będzie. Matka — mówiła — chwaliła się, że młodzi do zamorskich krajów jada na wywczas. Ludzie wzruszali ramionami. Też wymyśliła, co to oni własnej ziemi nie mają, żeby gdzieś po obcych jeździć, jak jakieś miastowe lekkoduchy?

Ale gdy nadszedł piątek i nikogo oprócz rodziny i jeszcze kilku osób nie zaproszono, młodzi spoglądali po sobie, staruchy jęczały zawzięcie po kątach, a Józwiakowej spódnica tylko furkotała po obojczykach. Gdyby Hanka nie była zadowolona przejeżdżając własnym samochodem, zauważyłaby te dziwne szepty, które milkiły, gdy nadchodziła.

Wyglądali tak, jak to sobie wymarzyła Hanka na ślubie Klimków. Co prawda ich ślub nie był tak wspaniały, był tylko jeden ksiądz, za to gapiów przyszło sporo. Stali wycekując. Młodzi uśmiechali się, myśląc o tym, że jutro i pojutrze też będą odwrotnie dni. Jutro rano pojedą pierwszym PKS-em, potem pociągiem do Warszawy, a z Warszawy samolotem. Hanka nigdy nie leciała samolotem. Staszek to co innego, w wojskach lotniczych służbę odbywał. A potem to wielkie jezioro o dziwnej nazwie Balaton (czytali o nim), i dziecięce dni w słońcu, z daleka od spraw codziennych.

Nie była to prawdziwa weselna chata. Kilkoro gości i gospodarze tańczyli przy muzyce z wy pożyczonego ze świetlicy adaptera. Nikt, nawet Leszek za dużo nie wypił.

co było zasługą Staszka, czuwającego nad wszystkim. Oczy Hani promieniały szczęściem, przyjacielki spoglądały na nią z zazdrością. Matka już pogodziła się z decyzją młodych, zamarzyła jej się wielka przegoda córki. Chodziła teraz dumna i przejęta, częstując gości. Trochę psuły nastrój twarze milczące za oknem, ale przecież na każdym więksim weselu są gapie za oknem, choćby zaproszona była cała wieś.

Do przystanku PKS-u nie było daleko. Wyszli jednak wcześniej, aby się mogli zdążyć na pociąg do Warszawy. Matka patrzyła za nimi wzruszona. Ładnie wyglądali — Staszek w prochowcu, z niewielką walizką, Hania w sukni, która sobie na podróż uszyła. Ciepło było, ale już zaczynało pachnieć jesienią, choć zboża dopiero niedawno uprzęgnięto. Mniej więcej w połowie drogi zobaczyli jakieś postacie, staruchy groziły z daleka — Zamorskich krajów im się zachciało, szlachta, a wesela jak Pan Bóg przykazał, nie wyprawia.

Z prawa i z lewa wyrastały złorzeczące postacie staruch i wyrostków. Ilekroć usiłowali się przedrzeć przez ten żywy mur, odbijano ich i podawano jak piłki (skąd w tych staruchach tyle siły) i znów wracali na to samo miejsce, na drodze. Hanka nie wytrzymała, krzyknęła — Ludzie, czego wy chcecie — i rzuciła się naprzód, młocąc na oślep pięściami. Mur był teraz bardziej nieustępliwy i groźny, gdy znów odrzuciła dziewczynkę, miała potargane włosy i rozdarta sukienkę. Staszek chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę wsi. Obudzili Jadwigę i z aparatu Klubu zadzwonili po taksówkę do miasteczka. Gdy wreszcie przyjechała, mieli jeszcze nikłe szanse, by zdążyć na warszawski pociąg. Z uczuciem ulgi wsiadli i przynaglili kierowcę do pośpiechu. Lecz tłum, który nie wiadomo kiedy zdążył się zebrać wokół taksówki, nie zamierzał jej przepuścić. Kierowca naciśnął klakson i ruszył powoli. Tłum się nieco rozstąpił, tylko Józwiakowa stała krzycząc — Nie wypuściecie ludzkie bezbożników. Trudno powiedzieć, jak to się stało, może kierowca liczył, że baba w ostatniej chwili ustąpi, może ruszył nieco szybciej. Zatrzepotały spódnice, staruchę uderzona maską wozu odrzuciło w tłum. Powietrze przeszło jej wrzask. Wtedy tłum ciśnie obieg samochodów i odstąpił dopiero wtedy, gdy czyjaś ręka cisnęła kamieniem. Staszek usłyszał brzęk zbitej szyby i zobaczył krew na skroni kierowcy. Wyskoczył z wozu, pobiegł pędem do Klubu.

— Co, po drugą taksówkę dzwonić? Jedną się nie zabierze? — roześmiała się Jadwiga.

— Proszę szybko karetkę pogotowia do Dążyc, jest ranny kierowca — wołał chłopak do słuchawki — Wypadek? — Tak. — Nie. Nie samochodowy.

Bez strachu

ORZECZY I ZĘBY

Zawsze miałem zdrowe, mocne zęby i zawsze lubiłem orzechy. Rozgryzałem orzechy zębami mimo przestrogi udzielanych mi przez babcię i ciocię: „pomaliesz sobie zęby — zniszczysz je na nie, zobaczysz, zobaczysz...”. Do brzo pamiętałem o tych słowach gryząc orzechy. Nie używałem nigdy dziadka do orzechów, nie gniotłem orzechów w rękach i zęby zrosły się we mnie tak jak kowadło i młot. „Jestem młody i zdrowy, mam zatem bardzo mocne zęby. Z latwością rozgryzam najtwardsze orzechy”. Mijały lata, a ja ciągle rozgryzałem — być może, gdyby nie ustawiczne przestrogi orzechy przestałyby mi smakować, ciałę jednak przestrogi podrażniały moją ambicję — ambicję posiadacza potężnych zębów. Przecież przestrzegający powatpieliwali w trwałą niezłomną siłę moich zębów — szukałem zatem afirmacji tej siły, dlatego rozgryzałem, rozgryzałem nawet wtedy kiedy nie miałem apetytu. Rozgryzałem w obecności żywcich i przestraszonych osób — sądzono, że każdy przeciągły trzask orzechowej łupiny jest trzaskiem mojego zęba — wzdrygano się z żywotnością dla mnie i spoglądano na mnie z lękiem i podziwem, a ja ciągle gryzłem. Wyważyłem sobie prawo gryzienia orzechów w miejscu pracy, w obecności kochanej kobiety, dla gryzienia orzechów przerywałem zające dyskusje i ciekawą pracę. Wielu ludziom moja obecność trwała skojarzyła się z trzaskiem łupiny, z nerwowym drgnięciem i koniecznością troski. Wyszukiwałem w skle pach najtwardsze orzechy i rozgryzałem je w oczach sprzedawców — przeczytałem „Historię Dziadka do orzechów” i zacząłem pisać traktat o orzechach. Moim ulubionym zwierzęciem stała się wiewiórka, a używką opium z zielenych orzechów. Złociłem ocalone łupiny i wieszałem je na choince. Pewnego dnia zaboląły mnie zęby w czasie rozgryzania orzecha i oto ten ból powracał wiele razy. Odwiedzałem dentystę — okazało się, że mam zęby przesunięte, odkształcone — poczęto mi je nasuwać, wyrwać. Proces leczenia trwał długo, zakończył nie miał całkowitym pozabawie niem mnie użebienia. W czasie leczenia dostrzegłem, że orzechy są niesmaczne, że wysuszają gardło, powodują kaszel. Przez długie lata kierowany nie apetytem, lecz fałszywą ambicją gryziełem to świnstwo — straciłem moje piękne i potrzebne zęby. Oglądałem w lustrze bezzębną paszczkę i nagle pomyślałem, że w moim popisywanym niejako rozgryzaniu nie chodziło wcale o orzechy i o zęby. Chodziło o najprostszy sposób nasycaćcia najniższej ambicji. Kogo właściwie obchodził czy dobrze czy źle rozgryzam?

A jednak chociaż minęło już wiele bezzębnych lat — niekiedy gdy jestem sam w mieszkaniu, rysuję ołówkiem wiewiórki i wydobywam z zakurzonego pudła kłuka starych łupin, z których opadają już złozenia.

BERNARD SZTAJNERT

go znaczenia. Mój boże, komuż jak nie tym posiwił w teatrze ludziom, siedzącym za stołem, zależy najbardziej na znalezieniu w stre-mowanej dziewczynie, czy chłopaku tej iskry talentu, która po latach pracy może wybuchnąć w wysoki płomień aktorskiego kunsztu.

I trzeba widzieć, jak cieszą się szczerą radością, kiedy ta iskierka błysnie w słowach plezystego chłopaka z dalekiej wsi, czy w niepozornej dziewczynie w skromnej sukience. Bo kiedy błyska ta iskierka, naprawdę nieważny staje się zapomniany w połowie tekst, czy drobna niezręczność. Oczywiście spoceni kandydaci nie wiedzą pewno o tym, że nikt tu od nich nie oczekuje aktorskiego kunsztu, bo mieć go nie mogą. Tu oczekuje się od nich tylko tego błysku talentu, lub choćby uzdolnień. I to się liczy. Tylko.

6.

Ale egzamin trwa. Komisja skrapia się w przerwach wodą kwitowaną firmy „Uroda”. Z estrady „leci” nieprzerwanie i na przemian — Brycht z Kernem, Norwid z Okudżawą, Żeromski z Broniewskim...

Na paradoksalnie długim korytarzu ekipa studentów krecąc dyplomowy dokument z egzaminu wstępnego wywlekuje na ciekawskie scenki. Ale scenek mało. Jakaś dziewczyna zacytowała w kście Walchowskiego „Izrael a NRF”, jakiś zadumany portrecik... W zasięgu kamery krecą się warszawianki, ale ekipa jest znużona, warszawianki też wpadły w apatię...

Giełda, jako się rzekło jest dość nudna, gąsmy papierosa i wracamy na salę.

Komisja analizuje kolejną grupkę kandydatów. Jakże są tzw. warunki pani Iks?

— Znakomite — mówi męski fragment Komisji

— Ale ma nieprawidłowy zgryz.

— Więcej na „trójkę”?

— Chyba niecała, bo ma lekkiego zęza.

Tu się nie nie ukryje i mówi się o tym bez zbędnych eufemizmów. Można być znakomitym inżynierem lub świetnym lekarzem mając „metr pięć w kapeluszu” i nos, jak kartofel. Z aktorem rzecz się ma inaczej. Trudno — taki zawód. I choć z jednej strony Komisja odda sprawiedliwość,

że „wdzięku tyle, że wiadrami czerpać”, z drugiej strony dostrzeże zbyt wysokie czoło lub zbyt niski głos.

7.

Dochoodzi trzecia, zaczynam już go nić w piętke, upał nie ma zamiaru zelżeć. Właśnie wyszła dziewczyna o trzech twarzach. Patrząc na zdjęcie z tegorocznego świadectwa dojrzałości — no taka sobie, raczej nie Liz Taylor. Patrząc na załączone do podania portrety „foto Nasierowska” i serce stuka „bądź dziewczyna z moich marzeń”. A wyszła przed chwilą ta prawdziwa — zupełnie inna od tych dwu z fotografii.

Przed stołem melduje się młodzieniec, który przygotował monolog Hamleta. Jak już to już — w razie czego nagle zastępowo i się gra. Tyle się przecież o tym czytało w powiastkach o aktorach.

A potem piosenka. „O mój romarynie rozwijaj się, pójde do dziewczyny, pójde do jedyniej, zapytam się” — śpiewa chłopak z uczuciem i repertuar ma z leką — „ulani wędrują, strzelcy maszerują, zaciągają się”.

No, tu się chyba nie zaciąganie. Z tym śpiewem rzecz jest zresz-

ta osobna. Młodzi przecież ludzie przychodzą ze zdartymi głosami. Ot, uboczny a groźny skutek masowego rozkwitu amatorskich zespołów, gdzie opiekunem i nauczycielem jest najczęściej rówieśnik, gdzie brak fachowego nauczyciela śpiewu, który nauczyłby wokalnego abecadła, postawił głos. Więc forsują gardła nie wiedząc, że Niemenowi wolno, bo jest fenomenem — jeśli nie wokalnym — to medycznym na pewno. Ma władza głosowa na nieprzeciętą miarę.

8.

Idę owym korytarzem z surrealistycznego filmu, między szpalernymi oczekującymi na szansę. Sio pięknych dziewcząt, z których tylko pięć pozostanie od jesieni na tym filmowym korytarzu. Stu dorodnych chłopców, z których tylko dziesięciu rzucił jesienią wizytowe garnitury i ubierze — jak obyczaj każę — dżinsy i sweterki. Trochę im zardroszcze osiemnastoletnich marzeń, trochę im współczuję, bo wiem, że rozczarowania mają gorzki smak. Ale coż robić, w ten sposób zarówno dla szczęśliwej piętnastki jak i dla pozostałych rozpoczyna się życie, które nie jest sceną.

ne, że czas narzeczeństwa rekompensuje ten dar.

Bohaterka tragicomedii jest Valida Vrana, kobieta-dyktator, postać najlepsza scenicznie, barwna i umiłowująca dużą ekspresję interpretacji. Jest to jednak bohaterka negatywna: kobieta, jak już powiedziano, pełna kompleksów, nienawidząca mężczyzn i piękne kobiety, sublimująca nienawiść i niewyżycie erotyczne, działalność reformatorską i społeczną o charakterze faszystowskim.

Cóż więc z tym feministyzmem?

Nie potępiajmy jednak autorki za niekonsekwencję właśnie tu, gdzie ja zachowuje. Tymon Terlecki pisze tak: „W redakcji pierwotnej bohaterem tej sztuki był bezimienny „dyktator”, scenarzysty zwanym całkiem jednoznacznie. Na usilne nalegania kierownictwa teatru autorka zmieniła płeć głównej postaci, ale i ten radykalny zabieg nikogo nie zmienił. Po prapremierze krakowskiej (1938 r.) ambasada niemiecka założyła ostry protest”.

Tak więc niech i nas nie zmylimy płeć — spiritus movens sztuki.

Jest to jednak rola tak dobra, że nie odczuwa się tego zaojęcia genetycznego.

Jadwiga Andrzejewska dała kreację porywającą. W jej wykonaniu „Baba-Dziwo” jest szalona, przerażająca, ale równie żałośnie komiczna.

Andrzejewska jest dynamiczna, groteskowa, błazeńska, a tam gdzie odkrywa ko-rzenie swego obłędu — budzi mimowolne współczucie. Cieniem „Baby” i odbiciem jej brzydoty w krzywym zwierciadle jest Baronowa Le-lika. Skwaczek w świetnym wykonaniu Alicji Knast (Kry-styna Feldman nie widziałam), szczególnie udana jest scena upojenia zapachem silnej woni kwiatów, przestanych dyktatorce przez nie-ugiętą i po swojemu walczącą z dyktaturą, Petronikę Se-len-Gondor.

Ewa Krzyńska gra Gondorową, żonę eksministra i mię-czaka. Robi to prostymi środ-

kami, kreując postać pozytywną bohaterki udanie.

Bardzo jędrną, życiową i w końcu też pozytywną postać Agatki Kormor (tej przodownicy pologu) stworzyła Halina Pawłowicz. Janina Borońska-Lągwa jako Ninika, siostra Petroniki (bohaterka chemiczka), prezentowała wdzięk i niewątpliwie wyczu-ki sytuacji. W ogóle wszystkie panie: Teresa Kałuda, Halina Billing, Jadwiga Sten-nicka i Barbara Dziado-Lelińska nie rozczarowały wasali onót niewieści, w ich rzędzie i niżej podpisanego.

Reżyseria Miroslawa Szon-neria inteligentna i po ma-łych retuszach zupełnie spra-wna.

Scenografia Henri Poulaina pomysłowa i groteskowo barwna.

Myślę, że Maria Jasnorzew-ska-Pawlikowska byłaby u-kontentowana spektaklem, a nawet zdobyłaby się na jakiś komplement pod adresem inscenizatorów „Baby-Dziwo” — gdyby tak mogła...



Jadwiga Andrzejewska i Jerzy Przybylski
Fot. Fr. Myszkowski

Między dziedzictwem Goyi i znakiem kaligraficznym

Krytyka światowa przywykła, czy to dokonując przeglądu międzynarodowych wystaw sztuki, czy też relacjonując wędrowniki po salonach i galeriach, poświęcać więcej uwagi malarstwu niż innym dyscyplinom. Rzeźba przezycięcia niekompetencję lub nie uwagę pewnej części krytyki dzięki wielkim indywidualnościom, które rozmachem swych dokonań kształtują oblicze na szę epoki: sława Moora znacznie przewyższa sławę jakie gokolwiek z malarzy współczesnej Anglii. Ale wśród grafików żaden chyba artysta, nawet największy, nie doczekał się tej liczby publikacji monograficznych i wystaw, co tak wielu średniej klasy malarzy. Dzieje się tak dlatego, że do niedawna grafika albo zajmowała w stosunku do malarstwa pozycję wtórną, albo wręcz znajdowała się na peryferiach aktualnej problematyki i nie brała udziału w tych wydarzeniach, które decydowały o ewolucji sztuki XX wieku. Wielkie kierunki pierwszej połowy naszego stulecia obywateli się bez niej: albo dały początek nowym technikom, jak collage, albo nie interesowały się wcale dyscypliną tak kameralną, jaka jest grafika.

Sztuka czarno-biała stanowiła do niedawna sferę jakby zamkniętą, nie reagującą w zasadzie zbyt wyraźnie na wielkie przemiany malarstwa: przeglądając katalogi międzynarodowych wystaw grafiki w Tokio czy Ljublanie, odnosiło się wrażenie, że w pewnym stopniu dyscyplina ta ma charakter „północy”. Właściwie licząc od czasów secesji dopiero w ciągu ostatnich paru lat zapanowała owość rywalizacja między twórczością młodych grafików i młodych malarzy. Pewne zapowiedzi równoległości poszukiwań malarzy i grafików, datują się od „szkoły paryskiej” i uderzającej malarzowskiej dzieł grafików do niej należących (John Friedlander) oraz w bitnie „Impresjonistycznej” grafiki warszawskiej, skrytykowanej w końcu lat 50-tych, np. Halina Chrostowska, Edmund Piotrowicz. Dopiero później malarstwo, uwarunkowane przez takich artystów, jak z jednej strony Hans Hartung, a z drugiej Antonio Tapies, wskutek pewnych zabiegów formalnych zbliżyło się zdecydowanie do środków wyrazu grafiki i ośmieliło się skłonić występując w tej dyscyplinie: Hartung przez postawienie na płótnie swobodnych śladów gestu w formie wiązek czarnych smug na jasnym tle, Tapies — przez frontalne potraktowanie powierzchni obrazu, monochromatyzm, naruszenie jedynie przez zadrapania, czyli efekty typowo graficzne.

Zbieżność te dotyczą właściwie problematyki stylu, podczas gdy sojuszu dwu dyscyplin, którego jesteśmy świadkami dziś, wynika z nowej płaszczyzny porozumienia, ze skupionej uwagi, jaką darzą aktywni od niedawna malarze i graficy — sytuacja człowieka we współczesnym świecie. I przyznać trzeba, że choć w zakresie odkryć technologicznych, malarze jak się zdaje przodują, wykraczając poza granice tradycyjnego warsztatu, o tyle grafikom zdarza się znacznie ich przewyższać w imaginacji i wrażliwości.

Tak przedstawia się sytuacja dziś, kiedy mamy okazję oglądać w Polsce dwie wystawy grafiki, które niezależnie od liczby eksponatów można by nazwać światowymi: wielkie, obejmujące prawie 1000 prac II Międzynarodowe Biennale Grafiki w Krakowie i kameralny pokaz nowych zakupów Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej w Muzeum Sztuki w Łodzi. Wystawa w Muzeum Łódzkim, to po prostu ekspozycja 60 prac, w której powiedziano wiele dzięki obecności bardzo doświadczonej i bardzo reprezentatywnej autorów z różnych krajów świata. Pośród tych krajów wyróżnia się zespół kilku Czechosłowaków, a ciekawe prace pochodzą również z Włoch, Brazylii, Japonii, Francji i Kuby, nie licząc utworów polskich. Zresztą znajdują się tu prócz grafiki także i dzieła wykonane w technikach nie powielanych, rysunków i collage, które zresztą stanowią ozdobę pokazu.

Biennale w Krakowie odbywa się po raz drugi, jest więc okazją śledzić zmieniający się układ sił. Towarzyszą mu otwarte w Galerii „Krzysztofory” wystawy laureatów I Biennale, potwierdzające trafność ich ówczesnego wyróżnienia — Japończyka Kumi Sugai i Holendra Hannesa Postmyna. Poza tym Muzeum Narodowe staraniem dr Heleny Blum zorganizowało z tej okazji pokaz „Grafiki polskiej około roku 1900” oraz sympozjum na ten sam temat.

Skoro wspomnieliśmy, że pojawiła się ostatnio nowa generacja, spójrzmy, co ta generacja ma do powiedzenia, uczestnicząc w Biennale i wkładając do zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi. Chodzi tu zresztą nie tylko o młodych, niektórzy graficy starszego pokolenia właśnie w ostatnim okresie podjęli nowe zupełnie problemy.

Od paru lat wyczuwa się, że dawa dość ważne ośrodki sztuki czarno-białej, „école de Paris” i „szkoła warszawska”, które cechuje miękka malarskość i dążenie do osiągnięcia pułapu możliwości war-

sztatowych w tradycyjnych technikach, przede wszystkim metalowych, tracą na znaczeniu pod naporem nowych tendencji. Na uboczu zostają nawet urzekające dzieła grafiki abstrakcyjnej, takie, jak kompozycje Hartunga czy piękne, łagodne w kolorze, płasko rozłożone „chusty” ozdobione kilkoma swobodnie rzuconymi cyframi — laureata równorzędnego Grand Prix — Ingo Kirehnera z NRD, albo delikatne, pozabawione wszelkiego rysunku, drzeworyty barwne Brazylijki, Faygi Ostrower.

Jedną z tendencji najbardziej liczących się, reprezentują artyści, na ogół młodzi, dążący do radykalnego zerwania z estetyzmem poprzedników na rzecz drapieżnej ekspresji, nagromadzenia motywów zdecydowanie figuratywnych, prowokujących, traktowanych jakby narracyjnie. Tu tkwi zaszyfrowana przeze mnie w tytule artykułu analogia do twórczości graficznej Goyi, do groźnych, mrocznych jak zły sen, „Okropności wojny” i „Capriccios”. Najistotniejsze w tej analogii jest to, iż artyści tego nurtu, podobnie jak stary mistrz hiszpański, wykazują tak wielką wrażliwość, jakby szczególnie wydaną na cierpienie i gorycz, wobec spraw współczesnego świata, że reagują impulsywnie. Ta postawa jednocy dziś wielu grafików, zarówno tych, których z Goyą łączy nawet skłonność do ukazywania brzydoty i podłości, wśród nich Jacka Gaję, paru Skandynawów i Włocha Giuseppe Guerreschi, jak i tych, których bolesna i nostalgiczna poetyka kieruje ku rozwiązaniom równie może narracyjnym, ale jednocześnie pełnym odległych przenosi. Spośród tych ostatnich można by wymienić artystę, który był profesorem najlepszych młodych twórców krakowskich — Mieczysława Wejmana z jego cyklem „Rowerysty”, a także Andrzeja Pietscha, autora pięknych „Podróż” i Holendra Keesa Spermanna, tworzącego serie „Motocyklistów” i „Żołnierzy”. Tutaj plasują się nowe litografie nagrodzonego w Krakowie łódzianina Stanisława Łabackiego. Jego litografia „Świerk”, to obrazowa metafora zdumienia człowieka wobec natury, stojącego samotnie przed dylematem antropocentryzmu i przyswójczego „pyłku we wszechświecie”.

Taka jest skala najgłębszych przenosi w grafice, powstającej dziś w Polsce: od udręczenia osaczonego, „rowerysty”, poprzez obojętne pochodło twarzą, spotykanych w podróży, które na zawsze pozostają obcymi, aż po urzeczanie, które ulega człowiekowi nauki. Jest to grafika najambitniejsza, która w żadnym kraju nie rodzi się „na kamieniu” i w natoku blahych prac estetyzujących oraz dzieł innych, wiodących kierunków, do których jeszcze wrócić, niełatwo jest na nią natrafić na wystawie krakowskiej. Wśród Polaków odnajdujemy tu jeszcze Janusza Przybylskiego i zupełnie odmienną Danutę Leszczyńską — Kluzową. Co się dotyczy autorów europejskich i pozaeuropejskich, to konstatu-

jemy tu, jak owocna, nie licząc tradycji Goyi, przez wielu zresztą zdeprecjonowanej jawną wulgarność, jest dziś, po latach, spuścizną dalszemu i datującej się od niedawna model pop-artu. Ktoś powie może, że to objaw niekorzystny, ja jestem odmiennego zdania, gdy widzę jak wielki rozmach ma jakby nieco bliski Ernstowi, nagrodzony równorzędnym z Grand Prix „montaż” „Guantanamo” Argentynczyka Antonio Segui. Kompozycja ta, o tytule zapożyczonym z piosenki kubańskiej, pełna jest symboli z atlasów i popularnych ilustracji dotyczących Kuby.

Dwa lata temu w Krakowie pojawienie się repertuaru pop-artu, plakatowego koloru, fotofosów, dziecinnych wycinanek, literatury z reklam i obiegowych wyobrażeń erotycznych, stanowiło dla polskiego widza rewelację. Wystąpienie symboliki tego kierunku, odwołującej się do masywów środków przekazu, stanowiło wyraz ducha czasu, dziś jednak do twórców oryginalnych, głównie Anglików, m. in. Davida Hockneya oraz Japończyka Masuo Ikedy, a także do Lucjana Mirowskiego, dołączyli graficy różnych krajów, skutkiem czego z konieczności kierunek ten stracił na przenikliwości, a także jakby na atmosferze ironii, które go cechują. Niemniej przy wymienionych autorach dobrze prezentują się takie „komiks” z paszczami rekina, Kubańczyka Umberto Pena Garriga, „żurnalowo” zarysowane profile Szweda Gunnara Thelander i „plakaty biura podróży” Holendra Geerta Voskampa, właśnie dlatego, iż prace te charakteryzuje



UNO TANTO SE FATIGA

Antonio Segui. (Argentyna)

Fot. K. Pollesch

jakby cudzysłów, pewna doza kpiny z pierwowzorów.

Wreszcie laureat Hannes Postma, który zaprezentował kilkanaście barwnych akwafort. Urzeka on nerwowym zarysem niby-ludzkich postaci, przywodzących na myśl pozabawione powietrza gumowe zabawki. Postacie te unoszą się wśród komet i latawców, jak na rysunku małego dziecka, nie znającego jeszcze praw ciężenia, horyzontu i perspektywy, wyposażonego jednak w dorosłą zdolność kojarzenia.

Na przeciwnym biegunie grafiki naszych dni, jako przeciwstawienie ekspresji — znajduje się grafika prostych układów geometrycznych, jakiej do niedawna nie było — realizowana przez wyznawców tzw. sztuki wizualnej, programowanej, optycznej i uczestników ruchu „nowych tendencji”. Unowocześniony warsztat graficzny, służy tu analizie zjawiska pozornego ruchu, pozornej przestrzenności i deformacji zestawionych ze sobą figur geometrycznych. Na Biennale ta tendencja, reprezentowana przez Victora Vasarely'ego z Francji i Getulio Alvianiego z Włoch, nie zaleca się do szeroko; ale w zbiorach Muzeum Łódzkiego ma, przez wymienionych, także świetnych reprezentantów w osobach członków „grupy N” z Padwy, którzy tu wystawiali w ubiegłym roku i Brazylijczyka Almirę Mavigner. Współ z malarstwem tego rodzaju, rozwijającym się w kilku ośrodkach Francji, Włoch, USA i Południowej Ameryki, grafika ta przerzuca pomost między wyobraźnią artystyczną i naukowo-techniczną.

Pozostaje jeszcze przyjrzeć się grafikom, które operują znakiem — wymagającym, zupełnie dowolnym, mogącym oznaczać tak wiele, albo zgodnie ze swobodną poetyką surrealizmu, albo przestrzegając tradycyjnych reguł dalekowschodniej kaligrafii. W pierwszej grupie dzieł skala rozwiązań jest ogromnie szeroka. Jest tu miejsce na abstrakcyjne elipsy i linie proste, jakże jednak giętkie i wyobraźniowo nośne, które widzimy na linorytach Stanisława Fijałkowskiego, nagrodzonego w Krakowie (a kilka tygodni wcześniej na Ogólnopolskiej Wystawie Rysunku we Wrocławiu), także na kabalistycznych, gęsto zapisanych tablicach Zbigniewa Makowskiego, na barwne stronic „zapisek” Janny Kraupe, na czterokrotnie powtórzone czarne pola z białym kształtem jajoratym Hiszpana Hernandezza Juana Pijuana, na geometryczne „płyty” paru Jugosłowian. Natomiast znak wywodzący się z kaligrafii jest, oczywiście, domeną grafików japońskich i ich rodaka, malarza zamieszkałego w Paryżu, Kumi Sugai, który wystawił swe barwne litografie w „Krzysztoforach”. Jego znak odszedł dość daleko od tradycji „japońskiej”, stał się monumentalną symetryczną geometryczną formą, wypełnioną czystymi barwami.

Wystawa nabytków działu grafiki Muzeum Sztuki obejmuje prócz samych grafik, także rysunki i collage, które to techniki w ogóle w świecie, dzięki wnikliwości autorów, przeżywają swój złoty wiek: rysunek dzięki ostentacnemu zerwaniu z konwencją wierności naturze, konwencją, która przetrwała tu dłużej niż w malarstwie, collage — przez fakt, iż rozszerza on niepamiętnie środki obrazowania współczesnej sztuki, pozwalając jej sięgnąć po wycinki-tworzywa, a zatem i aluzje treściowe, spoza jej zakresu. Dzieła wykonane kredką lub tuszem, często zupełnie nie przypominają tego, co rozumiemy pod określeniem rysunku, jak to ma miejsce w utworach Jerzego Kujańskiego i Andrzeja Łobodzińskiego. Collage, eksponowane w Muzeum stanowią natomiast znakomity materiał do przemyśleń na temat roli „przedmiotu gotowego” — tym przedmiotem gotowym jest wklejona ilustracja fotograficzna w pracy Tadeusza Kantora, stara rycina w kompozycji Romana Cieślewicza i reprodukcja dzieła sztuki w „Lady Gainsborough” Jiri Kolara. Inwencja techniczna artystów, uprawiających te dyscypliny, nie oznacza bynajmniej dążenia do efektów estetycznych, lecz jest wyrazem nagromadzenia się głęboko przeżytych treści, których inaczej, jak nowa technologia, wyrazić nie można. Grafika też stoi, być może, przed jakimiś istotnymi przemianami, na co wskazuje widoczna u młodej generacji nieokreślona wyobraźnia i poczucie odpowiedzialności artysty wobec sfery doznań emocjonalnych i intelektualnych współczesnego społeczeństwa i należącej doń jednostki.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Poprzedzony rozgłosną reklamą na ekranach łódzkich ukazał się w końcu włoski film pt. „Giulietta i duchy” i raz jeszcze Fellini, mag i czarodziej oprowadza nas po kiermaszu swej nieoczekiwanej wyobraźni.

Nawet wytrawnych znawców stylu Feliniego pierwsze już ujęcia zaskakują bujnością i bogactwem form plastycznych. Inwazja kształtów wyrafinowanego piękna wprawia oko, raduje, jednakże w końcu męczy niby surrealistyczny sen.

Przedmiotem zainteresowania reżysera jest w filmie tym środowisko, o którym z taką demaskatorską pasją opowiadał w „Siedmiu zyciach”, „3 i

pół”, sfera bogatej burżuazji, zdegenerowanej moralnie arystokracji, wziętych artystów, modelek, bon vivantów. Parada manekinów, w nienasyconym i gorączkowym, szalonej gonitwie za większą sumą pieniędzy, wciąż nowa, bardziej wyszukana i perwersyjna rozrywka.

Snobizm, pretensjonalność, orglastyczny erotyzm, obok tego zainteresowanie spirytizmem, magia, egzotycznymi religiami Wschodu, które stonowią mają namiastkę życia duchowego.

Jedyna wśród tej człowieczej menażerii istota prawdziwie ludzka to Giulietta. Ona jedna żyje naprawdę, myśli,

emocjonuje się, tym mocniej, że jest nieszcześliwa. Przekonała się bowiem o niewierności swego męża i przeżywa bolesny szok — świat jej prostych, oczywistych wartości ulec musi weryfikacji i Giulietta szuka w popołochu metody ratunku. Nie potrafi zrewanżować się mężowi, nie umie odejść, zaczyna ją dręczyć ja wzięte przeszłości, emanacje niegdysiejszych przeżyć i wzruszeń.

Niezwykła bujność warstwy obrazowej akcentuje jeszcze ubogi plan intelektualny filmu.

„Giulietta i duchy” stanowi ostatnią pozycję tryptyku obrazującego włoski

wielki świat. Pierwszy z trzech utworów, „Dolce vita” charakteryzowała względna równowaga między zawartością intelektualną i kształtem estetycznym filmu. Następny film „3 i pół” wykazywał już predykcję estetyzmu, jakkolwiek jeszcze dość ściśle podporządkowane były nadrzędnej idei utworu. Natomiast „Giulietta i duchy” to zmysłowa fantasmagoria, giębiąca w feerlii żywych obrazów swój ubogi zresztą watek myślowy.

A teraz oczekiwaliśmy nam wypadnie na następny film reżysera, który winien przynieść rozwiązanie dyalematu: współczesny Fellini, Fellini 68 to moralista czy wizjoner — esteta?



W 1964 roku Claud Autant Lara nakręcił film pt. „Pamiętniki pani doktor”, z Marię Jose-Nat w roli głównej. Wkrótce będziemy mogli obejrzeć go i u nas. Na tym zasadniczo winniśmy zakończyć zainteresowanie się tą pozycją repertuarową, dodając do niej, że na marginesie, iż film można obejrzeć z okazji jakiegoś wolnego wieczoru. Bowiem utwór nie tłumaczy się żadnymi wartościami ideowymi, czy też artystycznymi, ot, typowy produkt klasy II-B. Twórczość Autant Lary z ostatnich lat wydaje się być zupełnie obca jego niegdysiejszym sukcesom artystycznym. „Małżeństwo galanka”, „Listy miłosne”, „Diabeł weleony”, z pamiętną kreacją Gerarda Philippe'a, jako nastoletniego „loca-listy”, przeżywającego głęboki konflikt moralny, potem „Czerwona oberża” o urokliwej poetyce commedia macabre, wreszcie ekranizacja znakomitego dzieła Stendhala — „Czerwona i czarna”. Natomiast pierwowzorem literac-

kim „Pamiętniki pani doktor” jest francuski bestseller, mówiący szereg prawd statystycznych z dziedziny socjologii.

A więc Autant Lara pokusił się o film par excellence publicystyczny, rzekłabym, zaangażowany. Celem zainteresowania reżysera jest głęboki konflikt między kodeksem prawnym, a życiem, wynikający z anachronizmu praw tegoż kodeksu paragrafów. Otóż Francja, która w naszym przekonaniu stanowi symbol przepiękny dotyczący swobody, ma wielkie kłopoty z powodu obkurczania przez piosły dotyczących regulacji urodzeń. Panuje tam bowiem oficjalny zakaz rozpowszechniania środków antykoncepcyjnych, jako też z całą surowością karane są zabiegi przerywania ciąży. Konsekwencją tego stanu są liczne dramaty, powodowane realizacją sztucznych poronień pokatnie, w warunkach antyhygienicznych, niebezpiecznych dla zdrowia i życia liczących, do-dam, pacjentek.

Widzom polskim, dla których Boyowskie kampanie spod znaku „świadomego macierzyństwa” należą już do historii, absurdalność francuskich przepisów wydaje się szczególnie oczywista.

Atoli publiczność filmu, jego społeczeństwo, nie dostrzegają, że walcą mi tkwiącymi jedynie w założeniu pierwowzoru literackiego filmu. Realizacja filmowa, to melodramatyczna historia o perypetiach młodej, urzeczającej „Ślaczki”, pragnącej zmienić istniejący stan spraw. Powstaje zrealizowana w konwencji lekcji poglądu dowej dla dorastających pensjonarek, infantylnej i eufemistycznej.

Liryczna panienka-doktor żyje dramatami swych podopiecznych, pielęgnuje je z łsca samarytąnskim poświęceniem, wraz z nimi cierpi. W tym miejscu padnie herezja, otóż nam poważne wątpliwości, czy owa pani, oplakująca każdą obolałą wtrębę, będzie kiedyś naprawdę dobrym i użytecznym fachowcem.

Ważki problem socjologiczny neutralizuje ponadto watek romansu bohaterki z uroczym lekkoścuchem, który co prawda staje się przyczyną jej krótkiej rozterki, lecz w końcu nie jest w stanie wpłynąć na jej decyzję, nie narusza stereotypu postaci. Bo też film prezentuje cały szereg wzorów, modeli, szablonów, które determinują kształt konfliktów, sytuacji, postaw i zachowań. Tradycyjna konwencja stylizacyjno-formalna, niska nośność filozoficzna, intelektualna, pro wokuje pytanie: jeśli reżyser chciał rozegrać czytankowo-komercyjną partię z mało wybrednym widzem, po cóż kokieteria społecznikowska? Jeśli miał ambicję większe, przysługując pozycję, mity, stereotypowego widza, skazał się a priori na klęskę. Błąd założenia polegał przypuszczalnie na tym, iż przy pomocy takiego twórcywa nie istniała w ogóle możliwość realizacji ambitnego zamierzenia.

ELŻBIETA LUKASIEWICZ

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

W STULECIE URODZIN ALAINA

„Trzeba formować własny sąd przez masę cudzych myśli” — przyjął jako zasadę swojej intelektualnej działalności Alain, którego



Alain

syntetkę w setną rocznicę urodzin tego filozofa i eseisty, przypomniało radio francuskie w programie France-Culture.

Alain był znakomitym krytykiem i eseistą, a odznaczał się wybitnym darem jako wykładawca, który potrafił wzbudzić ogromne zainteresowanie swych słuchaczy.

Jego właściwe nazwisko brzmiało Emile-Auguste Chartier. Urodził się w roku 1868 (zmarł w roku 1951) jako syn prowincjonalnego weterynarza. Początkowo zdradzał wielkie zainteresowanie naukami ścisłymi, później poświęcił się filozofii i krytyce literackiej. Pozostawił po sobie wiele drobnych artykułów pisywanych na najróżniejsze tematy z codziennego życia. Artykuły te drukowane w „Depeche de Rouen” przyniosły mu ogromną popularność. Napisał też wiele książek i wydał zbiory artykułów krytycznych. Do najważniejszych jego dzieł należą: „Rozmowy nad brzegiem morza”, „Stendhal”, „Historia moich myśli”, „Z Balzakiem”, „Wspomnienia wojenne”, „Dickens”. Alain wywarł znaczny wpływ na literaturę i sztukę, przede wszystkim na Massisa.

stawił swe obrazy od roku 1904. Początkowo pozostaje pod silnym wpływem swego ziomka Van Gogha, następnie wypracowuje swój własny styl twórczy. Stał się jednym z wybitniejszych fowistów. W roku 1905 mieszkał w domu artystów „Bateau Lavoir” sąsiadując i przyjaźniąc się m. in. z Picassem. Po pierwszej wojnie światowej zdobywał sławę głównie jako portrecista. Wśród osób przez niego portretowanych znajdują się m. in. Maurice Chevalier i Brigitte Bardot.

Na jesieni ubiegłego roku w paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej odbyła się wielka retrospektywna wystawa dzieł Van Dongena. Niemal w tym samym czasie, kiedy prasą podana wiadomość o śmierci malarza, ukazały się recenzje książek poświęconej jego życiu i dziełu. Autorem jej jest Louis Chaumell. Książka jest niezwykle pracowicie i starannie napisana i zawiera około trzydziestu ilustracji. Ukazuje ona zasługi artysty, który odegrał ważną rolę w historii malarstwa.

NAGRODY LITERACKIE AKADEMII FRANCUSKIEJ

Wielką nagrodę literacką w dziedzinie prozy otrzymał w wysokości 20 tysięcy franków, za całokształt pracy pisarskiej, Henri Bosco.

Bosco urodził się w Awinionie w roku 1888. Bardzo wcześnie zaczął pisać, począwszy od bajek. Mając lat 60 otrzymał nagrodę Renaudot. W wyniku pobytu w Afryce powstała jego powieść „Kartki z marokańskiej” i „Miasta i miasta”. Pisał ponadto kilka powieści i tomów wspomnień.

Wielką Nagrodę Poezji w wysokości 10 tys. franków otrzymał Jean Lebrau. Urodził się w roku 1891 i jest autorem kilku tomów poezji.

Nagrodę Poezji w wysokości 7.500 franków otrzymał Alain Bosquet autor kilku zbiorów poezji i esejów.

KTO JEST WŁASCIWYM AUTOREM?

Sprawa, która toczy się obecnie w trzeciej instancji sądowej w Paryżu jest niezwykle ciekawa, gdyż dotyczy zagadnienia autorstwa dzieła sztuki. Kto jest właściwie autorem? Ten który powziął ideę danego dzieła, czy ten kto tę ideę zrealizował? W konkretnym przypadku chodzi o rzeźbę Renoira.

Otóż pod koniec swego życia Renoir mieszkał w Cannes. Już wówczas ręce miał sparaliżowane, mimo to potrafił stworzyć kilka rzeźb. Aby zrealizować swój zamiar zaangażował praktykanta, dwudziestotrzyletniego Richarda Guino, który odznaczał się wielką zręcznością rąk. Guino wykonywał rzeźby pod ścisłą kontrolą Renoira, który udzielał mu odpowiednich wskazówek. Cała sprawa jest istotna ze względu na spadek po Renoirze. Owe rzeźby bowiem mają dużą wartość. Guino i jego obrońcy twierdzą, że właściwym twórcą rzeźb był praktykant. Powołują się na zdanie Alaina, który konstatawał, że aby powstało dzieło nie wystarczy sama jego idea, ale trzeba ją jeszcze przetłumaczyć na papier czy płótno lub zrealizować w marmurze. Ale czy Richard Guino sam zdolny byłby bez pomocy i wskazówek Renoira wykonać mistrzowskie dzieło? Jeden z angielskich krytyków sztuki zeznał, że był obecny przy wykonywaniu rzeźb. Renoir, według jego relacji, trzymał w sparaliżowanych rękach precyzyjny, który przesuwając po powierzchni gładkiej bryły, najdokładniej wskazywał praktykantowi w którym miejscu, ile i jakim narzędziem należało dodać. Ręce więc Richarda Guino były niejako narzędziami Renoira, który wprowadził własnymi rękoma nie mógł rzeźby wykonać lecz powstawanie jej pilnie i starannie instruował. Miał miejsce następnie dość charakterystyczny incydent. Oto, gdy po pewnym czasie Renoir zaangażował innego praktykanta i pewnego dnia ów praktykant wykonał rzeźbę, dokładnie instrukcje Renoira, mistrz zawołał z oburzeniem: „Pracujesz dla siebie czy dla mnie?”.

Znawcy sztuki podkreślają, że rzeźby wykonane przez praktykan-

tów noszą wszelkie cechy twórczości Renoira i piętno jego geniuszu. Rozstrzygnięcie przez sąd sprawy o autorstwo rzeźb Renoira może mieć ważne znaczenie precedensowe.

„CHE” GUEVARA BOHATEREM KILKU FILMÓW

Z różnych krajów jednocześnie napływają wiadomości o tym, że postać bohatera kubańskiego rewolucjonisty „Che” Guevary przenoszona jest na ekran. I tak we Włoszech film o Guevarze realizuje Franco Rossi. Odtwórcą głównej roli będzie hiszpański aktor Francisco Rabal. Inny włoski reżyser filmowy Carlo Lizzani projektuje nakręcenie filmu, którego treścią będą ostatnie dni kubańskiego rewolucjonisty.

W Anglii, Tony Richardson okazuje duże zainteresowanie podobnym tematem, a w Hollywood Richard Fleischer nakręci film pt. „Che” według scenariusza Davida Karp'a.

WIELKI MIĘDZYNARODOWY KONKURS CHOREOGRAFII W BULGARII

W Warnie nad Morzem Czarnym w dniach od 8 do 20 lipca odbędzie się Wielki Międzynarodowy Konkurs Choreografii, w którym udział wezmą młodzi tancerze

z całego świata. Konkurs przewiduje występy w tańcach klasycznych i współczesnych. W zasadzie będą dwa konkursy: dla tancerzy do lat 19 i od lat 19 do 27.

W skład międzynarodowego jury wejdą przedstawiciele z 20 krajów, w tym z Francji, ZSRR, Kanady, Stanów Zjednoczonych i obu państw niemieckich.

FESTIWAL TANCA W MONTE CARLO

Ciekawie zapowiada się międzynarodowy Festiwal Tańca jaki odbędzie się w Monte Carlo na początku lipca. M. in. zgłosiły już

swój udział Królewski Balet Londynu, który przygotował spektakl oparty na sztuce Szekspira „Sen nocy letniej” oraz Balet z Marsylii, który wystąpi z tańcem opartym na motywach starych, historycznych obrzędów.



Balet z Marsylii

spektakle tygodnia

	spektakle	widzów	%
TEATR WIELKI			
„Halka”	2	2552	100
„Tosca”	1	1276	100
„Jeziorko łabędzie”	1	1276	100
„Carmen”	1	1276	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
NOWY			
„Szklana menażeria”	2	700	50
„Lato”	2	840	60
„Damy i huzary”	2	840	60
MALA SALA			
„Skiz”	2	320	80
„Gra miłości i przypadku”	2	320	80
JARACZA			
„Niemcy”	2	720	60
7,15			
„Bliźniak”	2	1328	80
POWSZECHNY			
„Baba-Dziwo”	1	600	90
„Kawior i kaszanka”	2	1320	100
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	3	1800	90
OPERETKA			
„Dziękuję Ci, Ewo”	6	5406	81
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Aszantka”	4	623	54
„Pan Puntilla i jego służa Matti” (piener)	6	13 895	100

OBIEKTYW

GUBERNATOR I SĘDZIA IRWIN

Znakomita powieść amerykańska Roberta Penna Warren'a „Gubernator” doczekała się adaptacji telewizyjnej w ramach Teatru Poniedziałkowego. Adaptacja nosiła nazwę „Sędzia Irwin”, a autorami jej są: Stanisław Magdżin (wybór tekstu) i Andrzej Konie (reżyseria).

Adaptacja dużych utworów powieściowych, przykrawanie ich do ram stuminutowego spektaklu telewizyjnego kryje za sobą sporo niebezpieczeństw. Nie znaczy to, byśmy mieli wzorem niektórych krytyków obłożyć anatema każdą próbę tego rodzaju. Jerzy Adamski pisał przed kilku

laty w czasopiśmie „Kultura i Społeczeństwo”, że (cytuję) „... arcydzieła literatury mogą być popularizowane tylko przez wykłady o nich, a nie przy pomocy skrótów, komiksów, przeróbek filmowych czy telewizyjnych, nie przy pomocy nawet najlepszej adaptacji”.

Przy całym szacunku dla wiedzy i żywej umysłowości J. Adamskiego nie mogę po prostu się zgodzić z takim stanowiskiem, reprezentowanym zwłaszcza przez wielu intelektualistów u nas i za granicą. Nie jestem pewny, czy w między czasie sam Adamski nie zmienił zdania, skoro dokonał in-

teresującej adaptacji teatralnej „Przedwiośnia” Jerzego Żeromskiego dla Adama Hanuszkiewicza.

Otóż zgadzam się, że mechaniczne skróty, wyluskiwanie z tekstu epickiego samych dialogów z opuszczaniem warstw opisowych i refleksyjnych prowadzi do złych adaptacji. Takich, co to streszczają tylko fabułę powieści, spychając ją i okradając z istotnych wartości treściowych, tkwiących w opisie środowiska, w odmalowywaniu nastroju, w manifestacji życia wewnętrznego bohaterów. Zgadzam się również, że adaptacja telewizyjna z reguły narusza strukturę wewnętrznej powieści, pisanej przecież z myślą o innej formie publikacji — o formie książkowej.

Niemniej jednak sam Adamski wspomina o dobrych adaptacjach, to jest — myślę — o takich, które w oparciu o utwór epicki tworzą inny utwór, przynależny do innej konwencji i rządzący się w związku z tym prawami utworu dramatycznego. A przecież ten inny gatunkowo utwór może stanowić w jakimś stopniu widowiskowy ekwiwalent powieści. I w takim tylko aspekcie rozpatrywać należy adaptację.

Wróćmy tedy do adaptacji powieści Warren'a. W jakim stopniu udało się autorom wi-

dowskiego nawiązać do świetnego oryginału, wydobyć jego istotne walory ideowe i artystyczne, zachować jego klimat? Mimo że spektakl telewizyjny „Sędzia Irwin” był interesujący, do adaptacji mo- żna zgłosić szereg zastrzeżeń.

Powieść „Gubernator” składa się z około sześciuset stron druku. Jest wielowarstwowa, operuje różnymi formami narracji, jak retrospekcja, pamiętnik itp. Całokształt wypada widzieliśmy jest oczyma bohatera powieści Jacka Burdena. Już te powierzchowne stwierdzenia wskazują, że praca adaptatorów jest tu niezwykle trudna.

Musi on przede wszystkim wyselekcjonować jeden z wątków. Mieszanie wielu wątków na małym ekranie na przestrzeni czasowej określonej przez normalne ramy widowni doprowadziłoby do kompletnego chaosu. Realizatorzy adaptacji poszli więc drogą selekcji. Wybrali jeden wątek — sprawę sędziego Irwina. Ale czy wybór ten był najszlachetniejszy, najbardziej reprezentatywny?

W powieści Warren'a węzłową postacią jest gubernator stanu Will Stark, przy którym Jack Burden pełni funkcję kogoś w rodzaju sekretarza. Osoba Starka, jego droga do kariery i realizowanie swoistego programu reform

służy autorowi do skompromitowania systemu korupcji, szantażu i łajdactwa, jakim przeżarta jest administracja amerykańska. Stark nie jest bynajmniej idealnym. Korzysta z tych samych metod, tylko że rzekomo w interesie społeczeństwa.

Można więc dopatrzeć się w gubernatorze rodzaju bicia bóg zego, który gromi polityków, aferzystów i łapowników ich własną bronią. Wydaje mi się, że ukazując rolę Starka w sprawie sędziego Irwina i ledwie nawiązując do drogi gubernatora do kariery, autorzy adaptacji wygubili główną myśl powieści. Nie pomogli nawet znakomita kreacja Henryka Borowskiego w roli Starka. Symboliczna postać gubernatora nie wyszła.

Subiektywny opis wypadków przez Burdena zastąpił adaptatorzy wstawkami monologowymi, w czasie których Burden (w wykonaniu Edmunda Fettinga) izolował się jak gdyby z akcji, by wracać do niej po wypowiedzeniu paru zdań komentarza. Ten za bieg udał się adaptatorom bar dziej, choć w sumie widowni sko nie wyszło poza ramy streszczenia afery sędziego Irwina. Tego ostatniego zagrał z szlachetną godnością Tadeusz Białoszczyński, pogłębiając jednak chyba rozterkę widza, który nie bardzo wie-

dział po czyjej stronie się opowiedzieć.

A po czyjej stronie należało się opowiedzieć? Moim zdaniem po żadnej. Ani Stark, ani Burden, ani Irwin nie są postaciami pozytywnymi. Stanowią oni tylko różne akcenty na ponurym malowidzie rzeczywistości amerykańskiej. Tak, ale to wiem z lektury powieści Warren'a, nie z adaptacji Konie — Magdżina.

Władysław Groni

KSIAŻKI NADESŁANE

Stanisław Szenic — „MARIA KALERGIS”, PIW, cena zł 50.—
Wanda Kurkiewiczowa — „ZA MURAMI MONTE”, W. Lit., cena zł 20.—
Johann Wolfgang Goethe — „WYBÓR POEZJI”, Zakł. Narod. im. Ossolińskich, cena zł 42.—

Samba w hotelu, rumba na stadionie

O piłce nożnej pisała ostatnio „Kultura”, „Polityka” i wiele innych wytwornych tygodników. Futbol stał się tematem roku — może dzięki pojedynkom Górnik z Manchesterem, a może dlatego, że rośnie popyt na igrzyska.

Każdy prawdziwy mężczyzna powinien mieć jakieś sportowe hobby, to jest teraz w dobrym tonie.

Więc w moim piśmie są sami prawdziwi mężczyźni; kochają sport i wystali mnie do Warszawy, abym zdał im sprawozdanie z meczu Polska — Brazylia, bo telewizja przedstawiała na Zygry zadaniu nie sprosta.

Wziąłem delegację, wsiadłem w pociąg, wyjątkowo zresztą zatłoczony, i — odjazd! Ludzie wyrwali sobie z rąk „Przegląd Sportowy”, a działając różnymi łódzkimi klubów i zawodnicy, zachowywali się z godnością. Było też w pociągu dużo podwórkowych juniorów i trampkarzy, domytnych na daleką eskapadę; rozprawiali o Pelem i Leonidasie, pocinali ukradkiem z karmana zmieszane cygarety, a jak który się za bardzo podpałił, to bluźnił.

W Warszawie zorganizowałem sobie bilet i poszedłem na Stadion Dziesięciolecia przymierzyć się do miejsca. Było to znakomite miejsce: w trzydziestym sektorze i dziesiątym rzędzie, a więc na prostej, zaraz obok łóża honorowej. Posiedziałem tam ze dwie godziny, aż raptem targnęło mną sumienie. „Cóż ty sobie wyobrażasz — pomyślałem — Nabierasz manier dziennikarza sportowego. Myślisz, że wystarczy napić kogo strzelili bramkę, i w której minucie — żeby sprawę załatwić? Nie, mój drogi! Tu się trzeba rozejrzeć za jakimś przyzwoitym materiałem”.

Powlokłem się więc rozbrzmianym mostem Poniatowskiego do Nowego Świata. Był bezczelny, nieprawdopodobny upał, który nie gasił bynajmniej przedmeczowego entuzjazmu. Tłumy przy saturozach szprycowały się sodową wodą i zonglowały słowami trenera Kuncewicza oraz Stanisława Osłizy. Pierwszy oświadczył prasie, że montowa nie jedenastki narodowej jest

już na ukończeniu. Drugi — że mecz z Brazylią zostanie wygrany.

Butne oświadczenia. Ale wpłynęły dobrze na samopoczucie kibiców i frekwencję. Stołeczna gazeta z radością do nosiła, że nasi piłkarze są pełni optymizmu, a ostatnie godziny przed meczem spędzają w podwarszawskich miejscowościach, w wytwornej willi, gdzie krzątają się przy nich liczne rzesze trenerów, lekarzy i działaczy.

Co robili w tym czasie nasi znakomici goście?

Żeby to sprawdzić — poszedłem do Bristolu, gdzie stacjonowała część brazylijskiej ekipy.

Przed Bristolem przestępowałem z nogi na nogę łowcy autografów, nie mając wszakże odwagi wtargnąć do środka. Ja się na tę odwagę zdobyłem. Trafiałem od razu na piękną scenę. Przy windzie tańczyli dwóch Brazylijczyków, uginając się miękko w kolanach, trzeci gwizdał, nawet dosyć głośno, ale melodyjnie i z wyczuciem. Bardzo to rozświecało pewną starą panią z hotelowej obsługi. Wpadła na chłopaków jak rozświeczone erylina, że tak nie można, obraza obyczajów i w ogóle. Oni nie nie rozumieeli, ale wmlaszala się ich opiekunka, Polka, i dała starzej pani odprawę, że w każdym europejskim hotelu wolno gwizdać, śpiewać, a nawet tańczyć.

— A zaczepiać dziewczęta też wolno? — zapytała erylnia.

— A kogo małą zaczepiać? — odpaliła opiekunka.

Gwoli prawdy, to zaczepki brazylijskich chłopaków ograniczały się do sympatycznych uśmiechów, kurtuazyjnych ukłonów, na które nasze piękne warszawskie dziewczyny reagowały stłumionym gardłem wzmachaniem głowy. W ogóle cały Bristol był rozwingowany. Na korytarzu, w restauracji i coctail-barze roilo się od zielonych dresów z jaskrawożółtymi wypustkami, z napisem na piersi: Brazil. Czarni albo oliwkowi piłkarze, o realistach skroconych w małańki pierścienki włosów odbywali przedmeczowy relaks na stojąco. Pili mrożone piwo, ka-

wę, soki, w których grzechotały kostki lodu. Palili amerykańskie papierosy „Winston” i „Camele”, nie troszcząc się zbytnio o kondycję. Trener Moreira, przystojny starszy pan, wyraźnie im pobiażał. Budziło to zgrozę w kelnarach, portierach i ponurym windiarzu, który powiedział, że jak ktoś pije piwo i pali te cholerne amerykańskie papierosy, to meczu wygrać nie powinien.

Przy dolarowym kiosku z „Ronsonami”, „Martellem”, i szkocką whisky made in „Johnnie Walker” dama o wyniosłej postawie mówiła do sprzedawcy, ale tak, że by wszyscy słyszeli:

— Znam Brazylię. Trzech rzeczy nienawidzę w Brazylii: samby, piłki nożnej i Murzynów...

— A kawę pani lubi?

— Kawę? O, tak. Kawa tam jest dobra.

W coctail-barze dystygnowały Anglik przydybał znakomitego napastnika, Edu; chciał się dowiedzieć jaki będzie wynik meczu: six... seven?... Czarny Edu zaśmiał się głośno szczerząc białe zęby. Kręcił głową jakby chciał powiedzieć: żartujesz stary. Zbył natręta kiepską angielszczyzną mówiąc coś w tym sensie, że piłka jest okrągła. Anglik chciał się jeszcze dowiedzieć, czemu do Warszawy nie przyjechał Pele, ale Edu miał dość, poklepał dżemtelmna po ramieniu i uciekł, i wtedy wmlaszala się chłopak siedzący przy barze, pijący „Radebergera”, Polak, ale znający angielski i zagadnienie: „Pele — tłumaczył długo i za wile, a Anglik słuchał znużony — ma przedsięwzięcie, budowlane, które ostatnio podupada, potrzebuje więc pieniędzy, no to klub „Santos” zorganizował specjalne tournée aby pomóc gwiazdowi. Pele dostanie po czterech tysiącach dolarów za każdy z dziesięciu europejskich występów, choćby grał tylko po trzydzieści minut w każdym, a za sam wjazd do Europy szczydry klub już mu wypłacił dziesięć tysięcy dolarów; razem, łatwo obliczyć, Pele zgarnie z tego interesu pięćdziesiąt kawałków”.

Anglik powiedział „dziękuję” i uciekł, jak przedtem Edu. Ale rozmowę podtrzymał jeden z trzydziestu brazylijskich dziennikarzy, proszący właśnie barmankę o piwo.

— Pele — powiedział, wymijając ciężką harmonię polskich pieniędzy (chciałabyś mieć tyle) — jest bardzo oszczędny, ale już od września zaczął treningi z reprezentacją kraju i na Mistrzostwach Świata w Meksyku jeszcze raz zabłyśnie jego wielka gwiazda.

— Jasne! — ucieszył się Polak znający angielski. — To kapitalny gracz. — I zaczął wypytywać dziennikarza, czy to prawda, że dzięki Pelemu

zniknął w Brazylii analfabetyzm, bo kiedy wyszły książki kowe pamiętniki Pelego, to wszyscy analfabeci, około pięciu milionów, zaczęli na gwałt uczyć się czytać.

— Tak, to prawda — powiedział dziennikarz. I dodał, że Pele więcej zrobił dla kraju niż wszyscy brazylijscy pisarze i dyplomaci.

W hallu tymczasem dama o wyniosłej postawie podłapała grono wolnych słuchaczy i wygłaszała znajomy „spiez”:

— Znam Brazylię. Dwa lata byłem w Rio, a także w Belo Horizonte i Sao Paulo. Jest to piękny kraj, ale trzech rzeczy nienawidzę: Murzynów, samby i piłki nożnej. Zupelny obłąd...

Około czwartej przybył do Bristolu znakomity polski piłkarz okresu międzywojennego, pan Kuchar. Miał się zobaczyć z Leonidasem, ale Leonidas porwali działacze sportowi na spotkanie w siedzibie CRZZ. Toteż pan Kuchar stał zdezorientowany w podwojach hotelu i przyglądał się brazylijskim zawodowcom, którzy krębili się nieustannie po hallu pobżkując sutymi, luźnymi bransoletami z litego złota. Akurat zjechała winda i wysiadło paru tych najlepszych: Tostao, Jairzinho, Joel i Gerson. Każdym miał w ręku torbę ze sportowym ekwipunkiem i palili papierosy z taką miną, jakby w najbliższym czasie mieli się udać na wycieczkę po Warszawie. Obstała ich kilkunastoosobowa grupa brazylijskich dziennikarzy, którzy przez cały dzień buszowali po stolicy wypożyczoną na tę okazję bagażową taksówką. To się nazywa dziennikarska pasja. Badali nastroje przed meczem, obejrżeli stadion i przedmieścia Warszawy; nie wstydzieli się podróżować na platformie tej warszawskiej odrapanej dryndy. Natomiast jeśli chodzi o naszych dziennikarzy sportowych, to nie było w Bristolu ani jednego i dopiero około pół do piętej pojawił się, pobżkując kluczykami, pan Gruda. Ale Gruda nie przeprowadzał wywiadów, boczył się, dasał, smutny, że w tym towarzystwie jakoś nikt na niego nie zwraca uwagi. Już chciałem go pocieszyć i zapytać: „Jaki pana zdaniem będzie wynik meczu?”, kiedy porwały mnie rzeczy ciekawsze. Oto polska opiekunka Brazylijczyków przedstawiała ciekawym przedmeczowe menu piłkarzy. Rany! czego tam nie było: jajka, chleb, mleko, banany, po marańcze, soki słodkie i kwaśne, po kurczaku na gło- wów, po pół kaczki, cielecna, wołowina, schab pieczony, pomidory, wszystko według recepty lekarza. Gdybym był panem Gruda, narzabiałm to, co mówiła opiekunka, na magnetofon. Ale Gruda był ponad to. Dasał się i boczył, i ruszył się z obejdnietego skóra fotela dopiero wówczas,

kiedy przed Bristolem podjechał autobus PKS, mający zawieźć Brazylijczyków na stadion. Przy drzwiach autokaru czekało trochę kibiców. Minęło pięć minut, dziesięć, kierowca zaczął się niecierpliwić, że oni nie wsiadają, a tu musie woda w chłodnicy gotuje. Opiekunka poszła szukać zawodników, ja za nią. Na piętrze ich nie było. W coctail-barze — też. Wszedłem do pierwszej sali restauracyjnej — ani jednego. Przemknąłem wówczas chytkiem przez taras z fontanną. W sali na wprost siedzieli paru beczynnych kelnerów w sztywno nakrochmalonych kłach popalając papierosy, ale w ostatniej salce, na prawo, znalazłem wszystkich brazylijskich piłkarzy: półleżeli na krzesłach, spoczywali na podłodze, krzątali się między nimi pan Moreira, oszczędnie gestykulował, coś tłumaczył w soczystym portugalskim języku. Wycofałem się dyskretnie, i kiedy wyszedłem na Krakowskie Przedmieście, bo czas najwyższy, aby udać się na stadion, wpadłem na wyniosłą damę, która znowu podłapała słuchaczy i wygłaszała swój niezmienny „spiez”.

Przed „Europejskim” upolowałem taksówkę i mówię do kierowcy:

— Panie, na Stadion Dziesięciolecia!

— Gdzie tam, panie — on mówi. — Przez most się nie przejdziemy. Podrzuć pana do Aleja, a stamtąd pojedzie pan tramwajem.

— No, dobra. Ale szybko!

Ruszyliśmy, a tuż przed nami Brazylijczycy. Wsiadłem w bieżnię, wskoczyłem w dzielnicę i telepaliliśmy się z pół godziny przez rozbrzmiany most. A potem zobaczyłem morze samochodów na placu przy brzegu Wisły i w okolicznych ulicach; wszelkiej maści, kalibru, rejestracji. Bieglem pomiędzy szpalernymi samochodami w kierunku swojego sektora. Po drodze za- uważałem gościa w czapeczce „Przeglądu Sportowego”: sprze- dawał zdjęcia naszej drużyny kolarskiej, po dziesięć za sztukę. Inny hochsztapler sprzedawał zdjęcia rachitycznego Murzyna, i wmlawiał naiwnym, że to Edu. Naiwni kupowali po pięć za sztukę, a kiedy jednego próbowałem wyprowadzić z błędu, warknął na mnie wściekle, więc dałem spokój, niech tam.

Przed i na stadionie panował wzorowy porządek. Wzmocnione kordony MO (po ostatnich smutnych zajęciach z zakłócenia Wyścigu Pokoju) tłumy wszelkie „młodzieńcze” wybrki w zarodku. Paru ewaników atakujących zębami plot odnapdło w przedbieżach, reszta, przestraszona zdecydowaną postawą milicji, dała spokój i popatrzywała smętnie na wejścia.

Zgrzany i podniecony do-

tarłem do swojego znakomitego miejsca w trzydziestym sektorze i dziesiątym rzędzie. Niebawem weszli na boisko piłkarze obu zespołów. Hymny, kwiaty, pamiątkowe zdjęcie — wszystko to widzieliście w telewizji, a ja nie chcę dublować telewizji. Nie będę też relacjonował przebiegu meczu, żeby nie dublować informacji prasowej.

Powiem jedno: widziałem piękny, niezapomniany mecz. Brazylijskie perty grały jak w transie. Technika, polot, fantazja. Żółte koszulki szły lawą na bramkę stremowane- go Kostki, napastnicy i pomocnicy strzelali z biegu, z obu nóg, i jeżeli pisała w prasie, że Polska przegrała za wysoko, ale zasłużenie — nie wiercie. Nasz atak nie wykorzystał kilku okazji, brazylijski — kilkunastu. Nasi — jakże ambitnie grający piłkarze — nabiegali się setnie, Brazyliania pobawiła się piłką i wygrała od niechcenia. Staszek Osłizko stracił w tym meczu trzy i pół kilo żywej wagi, schodził z boiska ze zwieszoną głową. Tostao wyglądał tak, jakby mu na wadze przy było i skakał po meczu na dwa metry w górę.

Bardzo współczuję polskiej jedenastce, która zawsze tak gorąco dopinguje. Współczuję jednemu z naszych najlepszych zawodników w tym meczu, Jerzemu Sadowi, którego nazwisko (nie Lubanski- go, nie Osłizy i Kostki) skan- dowała wielotysięczna publiczność warszawska. Miał chłopak parę znakomitych zagrań i ostrych strzałów, i niewiele brakowało, aby wpisał się na listę strzelców dwukrotnie.

Alle zwyciężyli lepsi. Przypominam sobie słowa, które kilka miesięcy temu powiedział o swoich piłkarzach Moreira. Powiedział, że Pele jest w dalszym ciągu piłkarzem numer jeden na świecie, a każdy z jego dwudziestoo- sobowych kadry może być smiało piłkarzem numer dwa. To prawda. Best i Euzebio są wspaniali. Ale w Brazylii liczy się takich jak oni na tuziny. Brazylijczycy mają piłkę we krwi. Gdzieś czytałem, że futbol nie jest wynalazkiem angielskim, że to w Brazylii już kilkadziesiąt lat temu Indianie uprawiali makabryczny prafutbol: kapitan zwycię- żonej drużyny tracił głowę, która w następnym meczu służyła za piłkę, i w tym następnym meczu znowu kapitan przegranych nakładał głowę, aby mieli w co grać drużyna w kolejnym pojedynku.

Makabryczny futbol przeszedł w kraju kawy długą i piękną metamorfozę. Stał się sztuką finezyjną i elegancką. W Europie losy tego sportu potoczyły się inaczej: ze sztuki stał się grą w kości, gra na kości i gra za kości. Jeśli o mnie chodzi — wolę sztukę o zwykłej grze. Wole brazylijską sambę od angielskiego big-beatu.



Lewym okiem

TAK NIEWIELE TRZEBA!

Tak się złożyło, że już od pewnego czasu prze- bywam w środowisku ludzi chorych. Właściwie to śmiesznie powiedziane, bo ludzi niechorych nie ma w ogóle; być zdrowym to nie tylko marzenie, to nietakt, fauz pas towarzyszy, ale o tym pisał już Wittlin w swoim kapitalnym „Vade mecum życia rodzinnego i towarzyskiego”.

Więc może ściślej: środowisko, w którym się właśnie obracam, tworzą ludzie NIEPRZECIĘTNE chorzy, wyróżnieni, ba — dumni z tego wyróżnie- nia. Niech sobie będą, jeśli ta дума rekompensuje w jakimś stopniu doznawane przez nich cierpie- nia fizyczne, które zawsze są przecież niezastu- żoną krzywdą. Tylko, że dumnym można być w różny sposób, że uczucie to ma tyle wariantów co miłość, że bywa szlachetne i piękne, a bywa głupie, nachalne, niezdolne.

Niemądzy, a często i niezdolni — są ci, którzy o swoją chorobę mają pretensję do każdego, z kim się zetkną. To kucharki są winne, że posoliły zupę w sanatoryjnej jadalni, a panu mecenasowi z Mielca szkodził przecież posolona zupa. Albo nie posoliły twarogu, a on właśnie twaróg musi z soją, bo wie pan — to białko tak się nakłada

na warstwie pepsyny ujemnej i ten odczym wie pan, drażni tkankę, a ja mam tkanki, których nie wolno drażnić.

Pani Stefia ma tkankę, którą wolno drażnić, ale za to musi mieć ciszę przed obiadem, po obiedzie, oraz po kolacji i przed śniadaniem. Jak nie ma ciszy, to żąda zastrzyków i masażu. Pani Stefia jest najdziwniej chora i nie na to nie po- radzi. I pewnie tak jest, bo chudnie, brzydnie, nienawidzi przystojnych pań z wycieczkami worecz- kami i panów, którzy wolą młileczkę czytać gazetę, niż słuchać jej rewelacyjnych informacji o kluciu i pieczeniu.

Pani Sabina, która w tutejszym sanatorium prze- bywa już trzeci raz, nienawidzi prawie wszyst- kie panie, a panowie opowiadają o niej głupie kawały. Pani Sabina wygląda kwitnąco, NIE MO- WI o swoich dolegliwościach, żartuje przy stole i co dzień rano siedzi przy pół czarnej w „Zdro- jowej”. Podrywaczka. Paniusia, która ma chody. Co taka tutaj rola? Nawet lekarze przepisali jej na początek normalne picie Pienawy, normalne kwasowęglówki — i odjałowali. Pani Sabina jednak w parę dni mdleje jak najbardziej auten- tycznie, albo leży i wije się z bólu, starając się, żeby nie za wiele osób o tym wiedziało. Pani Sabinie nisko się kłaniam na deptaku, lubię pić wodę w jej towarzystwie, lubię jej odmianę dumy.

Popatrzcie, proszę, na pacjenta, który po kil- katrotnych — wyobrażam sobie, jak bolesnych — operacjach chodzi z pokiereszowaną, sztywą, twarzą, piersiami, mówi ledwie dostychnalnym szeptem, ma już okrągłą pięćdziesiątkę, tysiąc i odrzucone na wojnie cztery palce. Żaden mecenas, ani in- cjatyna, ani prezes. Drukarz. Zarabia niecale trzy tysiące. Zawsze elegancko i czysto ubra- ny. Uśmiechnięty, przy zapoznaniu uprzedza, że woli słuchać niż mówić, bo z mówieniem ma — jak pan widzi — kłopoty. Znalazł pania, której to nie przeszkadzało. Chodzi z nią pod rękę po

parku, tańczy cały wieczór przy jednym malut- kim koniaczku, oboje sprawiają wrażenie ludzi, absolutnie zadowolonych z życia. Kłaniam się nisko drukarzowi i śmieję się z jego dociepów, na- wet gdy ich nie mogę dosłyszec.

Bywają w szpitalach pacjenci, którzy zajmują swoją osobą cały personel dziennej i nocnej, z win- dziarzem, fryzjerem i elektrykiem włącznie. By- wają i tacy jak mój sąsiad, którego przywieziono z tegim zawalem, z zapadniętymi oczami, sinego. Leżał pod kropiówką dwie doby, broda mu ro- sta, odchodził. Po dwóch dniach miałem zaszczyt odebrać pierwsze sygnały z jego strony. Gdy zauważył, że patrzę na niego, uśmiechnął się i wyszeptał: taki byłem chojrak przedwczoraj; a teraz patrz pan — wysiadam!

W taki sposób powiedzieć o własnej, prawie pewnej śmierci można tylko z pozycji bardzo su- werennej, godnej, dumnej. Kłaniam się pamięci sąsiada. Rzeczywiście, odszedł, nie uważając tego do końca za wynik sprzyjszenia światła przeciw niemu ani za kosmiczny kataklizm.

Choć może brzmie to paradoksalnie, patrzac na takich pacjentów, na takich chorych — na- bieram optymizmu więcej, niż pomiędzy skuwaszo- nymi, zagonionymi, wściekle walczącymi o wszyst- ko ludźmi z tamtej strony szpitalnych murów. Oto okazuje się, że można się cieszyć życiem, pięknością świata, docieplem mężczyzny, wdzie- kiem kobiet, emocją flirtu. Że można bardzo, bar- dzo długo, że nie trzeba do tego tak wielu rze- czy, jak nam się zdawało, właściwie nie nie trze- ba prócz wielkiej ciekawości i wielkiej chęci życia.

Nie zapisz Wam tego, niestety, w żadnej re- cepcie. Lękajcie to, co zapisz. Idiotyzmem było- by nie poświęcać uwagi swemu zdrowiu i swoim chorobom. Lękajcie, leczcie się, leczcie się ko- niecznie, bo warto. Świat może się podobać.

ĆWIEK